Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

WIEŚ

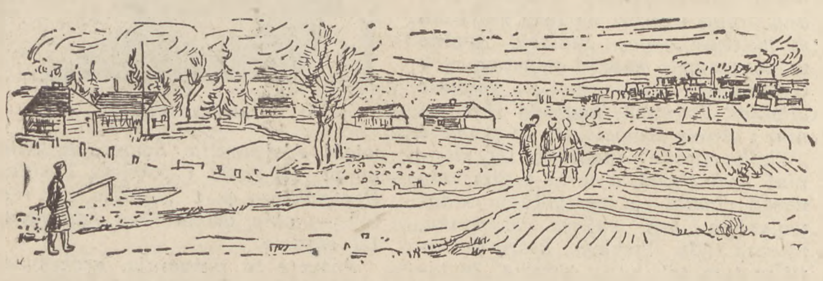
tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 5. VIII. 1951 r

Nr 31 (313)

W NUMERZE:



MICHAŁ ISAKOWSKI

Tłum. Anna Kamieńska

L I S T

Przed chatą mroczna stoi jedlina,
Stoi i patrzy na zachód twarzą.
I pisze, pisze młoda dziewczyna
List do rajkomu,
Do sekretarza.

I blask zachodu pożegnalny
Płynie z dalekich pól, zza rzeki,
„Piszę do ciebie
List oficjalny
I czekam
Dalszych dyrektyw

Z robotą u mnie nie tak znów tęgo,
Nie to co było wcześniej.
I sama nie wiem już dlaczego
We śnie ciebie ujrzałam.

To znowu serce mi się kraje,
Rozpacz i złość mnie bierze.
Bo zrozum — nijak się nie udaje
Zwołać zebrania młodzieży.

Ale zbyt ostro nie chciej nas winić,
Wszystkiemu winni bogacze,
Własny
Osobny gościniec
Mają przy każdej chacie.

„Nie trza nam — mówią — baśni,
Znamy my wasze straszaki"...
W związku z tym chciej mnie objaśnić,
Kto jest właściwie średniakiem.

Gdzie podobieństwa, różnice,
Ani rusz pojąć nie mogę.
A twe
Osobiste wytyczne
Bardzo by mi pomogły.

Ty w polityce, jak w domu,
A ja
Wciąż boję się wpadki.
I w ogóle związek z rajkomem
Mamy zbyt słaby
I rzadki.

Problem to jest aktualny,
Rozstrzygnąć go pora się zdarza.
Lecz wszystko to
Oficjalnie,
Nic sobie nie wyobrażaj..,

I jeszcze coś. Sztuczkę grać chcemy
Przyjdź nam referat odczytać.
U nas tu w porze jesieni
Tak pięknie jest w zagajnikach.

Przyjdź! Znasz się na referatach.
A jak nie —
Ja zrobię wszystko..."
Ale sekretarz biurokrata
Nie pojął kobiecego listu.

Gniewny dopisek w górze stanął,
Skrzypnęło pióro żałośliwie:
„Znowu z robotą nawalają.
Bez zwłoki na egzekutywę!"

I w teczkę,
Gdzie nieczułe listy,
Gdzie protokóły suche rządzą,
Wpadły
Wytyczne osobiste
I umarł cicho
Żywy związek.

1927.

ROZMOWA Z REDAKTOREM

Rzekł mi niedawno smoleński redaktor:
— Pocóż ty, bracie, pchasz się do gazety,
Gdzie w twoim wierszu jest spółdzielczy traktor? —
Stwierdziłem smutno, że nie ma, niestety.

Lecz wnet rzuciłem z ognistym zapałem
(Smak redaktorski to cała nauka):
Zato młockarnia w mym drugim rozdziale
Od szóstej zwrotki do piętnastej stuka.

Redaktor odparł z grymasem znajomym,
Niby że diablo zajęty w tej porze:
— Zrozum, kolego, że organ gubkomu
Z jedną młockarnią drukować nie może...

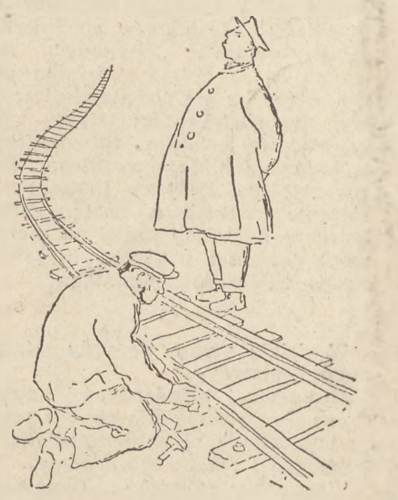
Odtąd rzuciłem miejscową gazetę
Kłócić się szkoda energii i śliny.
Źle na prowincji jest życie poety,
Który nie pisze n a p i e r w s z e j l i n i i.

1927.

PIOTR CHMURA

KRONIKA RODZINY

Nasza rozmowa toczyła się pod jabłonką, na środku podwórza, porosłego trawą. Gospodarstwo to wespół z czterema innymi stanowi kolonię. Takich kolonii rozsiadło się kilkanaście wokół głównej, ulicowej części wsi. W owym centrum widać kościół, liceum, filię spółdzielni GS-u, mleczarnię, świetlicę, szopę i warsztat SOM-u, tam też pola chłopskie otaczają (po skomasowaniu) szmat ziemi spółdzielczej.



W spółdzielni produkcyjnej jest 21 członków, stanowi to jedną dziesiątą część wszystkich rodzin w gromadzie. Stan ten trwa od roku. Nikt z zespołu nie ubył, ale też nikt nie przybył.

Baba z chłopem rozsiedli się pod jabłonką, bo jest niedziela i popołudnie, ostatnia niedziela przed żniwami.

Znalazłem się w jednym z ogniw pierścienia indywidualnych gospodarek, okalających wszystko co w tej wsi społeczne.

Gdyby to była scena obrotowa, jak w teatrze, ujrzelibyście wieś ze wszystkich stron z owym pierścieniem na pierwszym planie. Pod drzewami, na przyzbach, na gankach siedzieliby ludzie pogrążeni myślami w urodzaju, w obliczeniach i wspomnieniach. Niechże Wam się zakręci ta karuzela, od kolonii do kolonii, od sąsiada do sąsiada, od grupki do grupki. Wieczorem znów będę w centrum wsi na zebraniu spółdzielców.

Ale jest jeszcze popołudnie i stoi przede mną zadanie wbić się w ów pierścień chłopskiej karuzeli. Zadanie nie łatwe, bo nie wyglądam na takiego, co to idzie z nurtem tej karuzeli, ale przecina ją, wychodząc ze spółdzielni, ze społecznego centrum wsi. „Dzięcioł w drzewo kuje a nos sobie psuje", tak zdają się mnie witać uśmiechnięte oczy gospodarzy, wypoczywających, sytych, rozmarzonych urodzajem i pewnych już swego w tym roku. Ostrzegano mnie, bym nie zaczynał rozmowy od spółdzielni, zanucą mi bowiem zaraz:

„ostawcie rzecz na stronie,
lepi dalej orać koniem".

Myślicie, że posłuchałem? Nie. A jaka była odpowiedź? Kobieta westchnęła i splotła dłonie. Mąż machnął ręką i mruknął: **„dwa razy już w życiu czapkowałem, po co mi trzeci raz?"**

Oto i macie. Nawet łańcuch składa się z ogniw, a mur z cegieł, kiedy zaś **łańcuch** i **mur** tworzą ludzie to już całkiem złą przysługę wyświadczają niektórzy korespondenci i biurokraci—działacze w dosłownym znaczeniu używający tej przenośni. Mają cztery worki: na bezrolnych, małorolnych, średniaków i kułaków. I pakują razem Murgrabię, Durę, Fafałę, ilu ich tam jest i wychodzi 48 średniaków, 72 małorolnych. Ten rachunek zajeździli już na śmierć. A przed każdym nowym baranieją. Bo kiedy mało i średniorolni są i w spółdzielni i na wsi, działacz do mnie: Kolego, wieś murem stoi przeciw spółdzielni. Nie, żeby zwalczali, ale nie chcą wejść. Murem!

Jestem tedy przy murze i co się okazuje. Cegłę stanowi tu człowiek, konkretna i zindywidualizowana historią swego losu osobowość.

We froncie narodowym trzeba się działaczom nauczyć na wsi czytać w tych jednostkowych życiorysach. O tyle głębiej w klasowość, o tyle głębiej w poznanie starego i nowego w człowieku! Bywa jeszcze gorzej, kiedy działacze nie wysłuchują chłopów, w których nabrzmiała wewntęrzna potrzeba spowiedzi. Ludzie szamocą się ze swoimi dziejami, rady niekiedy dać sobie sami nie mogą z własną przeszłością i teraźniejszością. Czują i widzą, jak się w nich kłócą dwie tradycje, dwa nurty. Walczyć, dlatego koledzy, to znaczy także — przekonywać i pomagać!

Pod jabłonką na kolonii, z dala od społecznego i uspołecznionego centrum wsi, wypalił do mnie średniak: „dwa razy już czapkowałem, po co mi trzeci raz?". Tak się nie mówi do obcego, tak mówiąc, nie stanowi się części żadnego muru. Chłop myślał, chłop wertował kartki tej jednej jedynej książki własnego żywota i schwycił sens przeszłości, schwycił jednostronnie i obronnie nie wobec tego, co ma dziś, ale wobec tego, co kiełkuje i wyrasta na jutro. Od razu widać, że wnioski są błędne, ale też widać, że przesłanki są ciekawe i ważne.

Dlaczego w liceum, w POM-ie, spółdzielni, w GS-ie nie próbowano, do pioruna, przemyśleć tych przesłanek? U tego mojego średniaka i wielu innych. Choćby metodą grup terytorialnych, owych kolonii, gdzie po sąsiedzku jeden na drugiego się ogląda.

Dlaczego, do pioruna, nie prowadzi się rozmów indywidualnych? Znacie dekret o skargach, żalach i bolączkach. Wydał go rząd nie po to, aby dopiero otworzyć chłopom usta. Życie pokazało, że chłopi mówią i piszą masowo. Dekret miał wziąć za ucho tych, którzy byli głupsi na tę mowę. Dekret rozszerzał problem — od dzieła (wypowiedzi, korespondencje) do twórcy, do człowieka. Zobaczcie go całego, posłuchajcie największej jego skargi: jak ma z trzewi starego życia wydobyć się na świat nowy, co i jak odcinać, co pielęgnować i rozwijać.

Tylko nie mówcie, że to się przecież robi. Bo choć siedzi mój średniak na zebraniu w sprawie pomocy sąsiedzkiej: siewnej i żniwnej, choć siedzi na zebraniu przy rozdziale nawozów, towarów, kredytów i za każdym razem dla powzięcia decyzji czerpie jakoś ze swojego „dwa razy już w życiu czapkowałem", aleście nigdy nie wysłuchali do końca historii jego życia. Nigdy nie pomogli mu kolektywnie dokonać obrachunku z tą przeszłością,



nad którą zagórował dzięki rewolucji. Nigdyście nie wygrali głównego atutu — nowych czasów — aby jak krytyk — recezent z tej pozycji wyjaśnić mu dzieło dawnego jego życia.

*

Co opowiedział mi ów średniak? Chłop żylasty, z wiekiem chudniejący, gdy żona, przeciwnie, tyje. On ma 46 lat, ona 43. Był synem wyrobnika. Ojciec mógł liczyć co najwyżej na 2 ha, ale ich nie dostał za życia dziadka, sam umarł przed nim. Została matka i 4 chłopaków. Najstarszy właśnie — on. Mając 16 lat poszedł w świat wzdłuż torów kolejowych i na tych torach, posuwając się co roku dalej, przepracował 10 lat. Gdy wrócił do wsi, miał 26. Spłukał go z kolei kryzys. Pamiętne lata 1932 — 33. A do wsi przygnała nadzieja. Tu bowiem pod osłoną rodzinnych powiązań toczyła się „wielka" spekulacja kapitalistyczna między gołotą wiejską a pankiem na gospodarce. Był to w tej grze o rentę, dzierżawę i odpracowane dziedzictwo moment kulminacyjny. Krótko mówiąc — stryj. On to od dziadka wycyganił ziemię, należącą się ojcu mojego narratora.

Ale już było po ziemi, 30 lat minęło, przedawnienie, kamień w wodę. Kamień zresztą wpadał w wodę powolutku.

Oto, kiedy nasz bohater dziesięć lat bałamucił przy kolei, stryj, nagabywany przez wdowę, kolejno przyjmował jej chłopaków na służbę. Służba, to był podwójny haczyk. Raz, że tylko za „życie". Dwa, że stryjo łudził wdowę i chłopaków **zapisem.** Był bowiem i pozostał bezdzietny. O naiwności ludzka, jak długo można cię zwodzić. Śmiała się wieś i szydziła, a wdowa uparcie pozwalała wśród synów przebierać jak w ulęgałkach. Współzawodniczyli o względy stryja i stryjenki, łudząc się, że wygrana zależy od dogodzenia staremu. A stary próbował i odrzucał. Do 1932 roku zdążył wykorzystać wszystkich chłopców.



Tak minął termin (30 lat), w granicach którego mogła jeszcze wdowa wyprocesować po mężu schedę na 2 hektary. Grało tu i drugie skrzydło tego chłopskiego przesiębiorstwa, handlarstwa i krzywoprzysięstwa — stryjenka. Na stryjnę patrzyła łapczywie jej rodzina. Po tej stronie było dużo bab: siostry i siostrzenice.

Stryjna czyniła zaciąg na własną rękę, aluzje były takie same jak stryja, z większą tylko dyskrecją robione. I brały, brały, bo na dnie nędzarskiego żywota wiecie co się nawet oblicza? Nie tylko wiano (2 ha) stryjny ale również to, kto pierwszy wykituje. Sądzono powszechnie, że stryj. Wygodę mieli oboje, grosze ciułali, dobrze jedli w polu i oborze pracowali za nich krewniacy — stryjna jednak mimo że kuternoga, była zdrowa jak rzepa, stryj zaś kwękał a popić lubił.

Ale właśnie dlatego, że gra szła na dwa fronty i lat już wiele upłynęło, nową namiętnością stryja stała się wojna z żoną: na serio zaczął myśleć o usadowieniu na gospodarce kogoś ze swojej linii.

W tym to momencie zjawia się mój gospodarz, czwarty, najstarszy stryjeczny. Popili i spodobał się stryjowi oblatany w świecie chłopak. Ale ten nie był tak naiwny, jak bracia i matka. **Zapisujcie zaraz — albo pies was trącał!**

Ugadali w domu wszystko dokumentnie, bo chłopak zamierzał się żenić. We dwójkę poradzą gospodarstwu, stryjom będzie jak w niebie. Ale stryje byli na ziemi. Stało się więc tak, że u rejenta kamienia na kamień nie zostało z domowych przyrzeczeń.

Zapis wyglądał na kpiny. Własnością nowożeńców stać się miało gospodarstwo dopiero po śmierci obojga stryjów. I nie 6 ha ale 5. Jeden hektar stryjna urwała, zobaczy w przyszłości komu go darować. Dom, koń i krowy nadal własnością stryjów, maszyny, inwentarz, także. A najgorszy warunek krył się w wysokości kontygentu zbożowych i okopowych. Wyglądało na to, że harując na gospodarstwie mieć będą młodzi tyle, ile wypadało zazwyczaj dla starych „na dożywociu", kiedy go sobie prawem nie zawarowali tylkę gębą. Znaczyło to razem — pójść w służbę.

Można się było cofnąć, ale „oblatanie w świecie" wzbogaciło chłopaka o trzeźwość. Wóz albo przewóz dyktowali w gruncie rzeczy starzy. Stryj dawał szansę swojemu. Gdyby chłopak jej nie chwycił, wdarłyby się na gospodarstwo siostrzenice stryjny i w walce między sobą dostałby się którejś los, po jaki on teraz sięgał w obliczu rejenta. Podpisał umowę.

Co przeważyło? Może ze starymi da się życie ułożyć? Może starzy wcześnie pomrą? Tak właśnie rozumował Golec — bez zagona będzie w służbie ale u stryja, przy zapisie, na wsi go chyba uszanują jako gospodarza, a gospodarzem kiedyś przecież zostanie. I wreszcie — żona. Dziad dziadówkę wziął.

Pod jabłonią opowiadali oboje gospodarze. Ona o sobie. A jeszcze było dwóch świadków, kobieta, jej rówieśnica z innej kolonii i młoda dziewczyna, krewniaczka z sąsiedniej wsi. Dziewczyna słuchała, uśmiechając się ironicznie. Łączyła obecny ich los z dawnym i zdawała się mówić oczami: aleście nic nie zmądrzeli. Starsza kobieta choć jeszcze pełniejsza średniaczka wyglądała na ordynaryjną robotnicę i na tercjarkę. Była też w rzeczy samej uboższa w myślach i słowach w porównaniu z naszą gospodynią. Słuchała przyjaciółki z uwagą i czujnością, jaką okazują ludzie, którzy również pamiętają te same fakty. Gospodyni nasza była córką małorolnych, 2 i pół hektara Sióstr sześć, ona najstarsza. Urwała naukę po trzech klasach, choć ksiądz obiecywał kształcić ją dalej bo zdolna była. Ale ojciec już nie żył, a matka potrzebowała pomocy w gospodarstwie i przy młodszych.

Drugi raz zaświtała nadzieja w „Wiciach". Chcieli ją pchnąć do szkoły rolniczej i znów troska o dom zatrzymała dziewczynę. Dziś z siedmiu sióstr ona jedna tylko żyje.

Ale wówczas jeszcze było ich pięć i matka. Ani ona, ani narzeczony na ziemię z tej strony nie liczyli, choć właśnie te 2,5 ha w całości i najwcześniej miały uczynić ich gospodarzami na swoim.

Poszli więc w służbę do stryjów. W niewolę, jakiej się nawet nie domyślali. Garnuszek mleka dla dziecka trzeba było wybłagiwać u stryjny. Gospodyni płakała w oborze, aby nikt nie widział sromoty, jakiej doczekała. Była to służba gorsza od tej, jaką znają prawdziwi najmici. Z takiej służby nie uciekniesz, bo przecież zapracowujesz sobie ziemię. Gęby nie otworzysz, to ci ją zamykają łaską „zapisu". Dwanaście lat przecierpieli w tej służbie i niewoli.

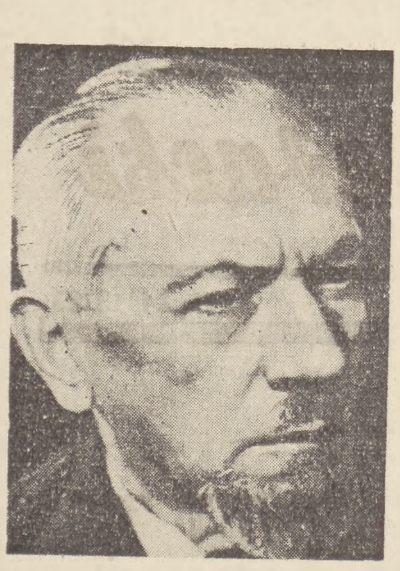
Obejście było stare, chata słomiana i niska, ale stryj nie myślał budować, żadnych też innych nie czynił inwestycji, ani w nawóz, ani w narzędzia i maszyny. Nawet kierat nie przybył, choć na wsi się rozpowszechnił. Nabrał sukcesora stryj. U rejenta w warunkach zapisu młody nie wyszczególnił funduszu inwestycji i ten brak legł im ciężarem nie do wytrzymania. Kontygenty nadszarpywały nawet to, co przeznaczone było, a skąpo na wyżywienie. Bywało, że sukcesor gonił za robotą po wsi albo i dalej, byle zdzierżyć w tej przeklętej „dzierżawie". Stryj i stryjna rachowali się między sobą i ciułali, żarli i ciułali, ale ani w banku, ani w papierach. Zboże, kartofle, mleko zamieniali na złoto i do mysiej dziury! Dwanaście lat takich koszmarnych dziejów I nie wytrzymaliby, gdyby w 39 r. po matce i siostrach nie przybyło wiano żonine. Na tym stali w latach okupacji, z tego wyrównywali kontyngent, jaki drakońsko ściągała stryjna, bo stryj zmarł z początkiem wojny. Teraz dopiero pokazało się, do czego miał służyć ów zapasowy hektar, jaki stryjna przy zapisie wydzieliła. Ona również liczyła, że przeżyje męża i na ten okres chciała być umocniona w siodle przez swoich. Trzeba było mieć czym kupić krewnych, aby tańczyli wokół stryjny i byli gotowi chodzić do władz i sądów, jeśliby stryjeczny próbował nie dotrzymać umowy.

Wyobraźcie sobie stryjnę po środku, a po bokach — z jednej strony — umęczonych, przeklinających drogę, na którą weszli, naszych gospodarzy, z drugiej zaś — siostry i siostrzenice stryjny zapiekłe w zawiści, gotowe szkodzić na każdym kroku zwycięskiemu konkurentowi. Biedota skacząca do gardła drugiej biedocie. Jedna, już skrzywdzona, druga czyhająca na skrzywdzenie. Obie nieszczęśliwe, obie obłąkane tym co straciły i tym co zyskają, a ponad nimi przyczyna walki, wyzysku i nędzy — stryjna — **posiadacz** ziemi. Stryjna a przed tym stryj, głupi byliby, gdyby z tej ziemi wyciągnęli tylko to, co może urodzić, a zrezygnowali z siły przynęcania i omaniania, jaką ona

(Dokończenie na str. 5)

WITOLD BILICKI

Państwowe Nagrody Literackie w roku 1951



Leopold Staff

Z okazji Święta Odrodzenia Polski w dniu 22 lipca corocznie przyznawane są nagrody państwowe w literaturze, będące wyrazem szczególnej troski Ludowego Państwa o rozwój sztuki narodowej. Mają one na celu nie tylko zaszczytne wyróżnienie przodujących twórców. Doniosłość tych nagród polega na ich znaczeniu mobilizującym i wychowawczym.

Naczelnym i bardzo odpowiedzialnym zadaniem, jakie literatura nasza ma współcześnie do spełnienia jest: dopomóc narodowi do wykonania Planu 6-letniego — to znaczy towarzyszyć mu w jego codziennych wysiłkach przy budowie podstaw socjalizmu.

Nagradzając osoby i dzieła, Państwo Ludowe jako mocodawca Narodu Polskiego, pragnie pokazać ogółowi twórców, jakie na danym etapie budowy socjalizmu kierunki i wzory twórczości należy szczególnie rozwijać, jakie dziedziny literatury ożywić, nad jaką stroną warsztatu pisarskiego szczególnie pracować, jakie ważne sprawy z dziedziny socjalistycznego budownictwa domagają się literackiego obrazu i opracowania.

Pierwszą rzucającą się w oczy charakterystyczną cechą tegorocznych nagród jest przyznanie tylko I nagrody za poezję i to dwu czołowym i uznanym poetom starszego i najstarszego pokolenia — LEOPOLDOWI STAFFOWI i JULIANOWI TUWIMOWI. Poza tym nie zostały przyznane żadne inne nagrody w zakresie poezji.

Takie ustawienie nagród w tej dziedzinie wynikło z sytuacji, w jakiej znajduje się nasza poezja.

Mimo niewątpliwego postępu zwłaszcza w zakresie przyswojenia sobie wartości ideologicznych, nasza współczesna poezja pozostała na ogół w tyle za prozą, która poszczycić się może znacznymi osiągnięciami na drodze do realizmu socjalistycznego.

Nie miejsce tu na omawianie wszystkich typowych niedostatków naszej poezji, wskażemy w skrócie na najistotniejsze.

Poważną słabością naszej poezji jest przesadna skłonność do stylizacji — to znaczy do zrezygnowania z własnego wyrazu poetyckiego i naśladownictwa gotowych wzorów. Niektórzy z naszych poetów stylizują np. pod wielkich poetów-demokratów świata kapitalistycznego, Nerudę, Eluarda, Hikmeta — inni naśladują zewnętrzną poetykę Majakowskiego i Broniewskiego — jeszcze inna kategoria stylizacji to pseudoludowość.

Drugą jeszcze poważniejszą słabością naszej poezji jest występująca u wielu poetów deklaratywność, ogólnikowość treści, niezdolność dogłębnego przejęcia się uczuciowego tematem, trudność w przyswajaniu sobie konkretnych tematów z polskiej rzeczywistości.

Trzecią poważną słabość wielu utworów poetyckich to ich niechlujność, wyraźne braki warsztatu poetyckiego, niestaranność i lekceważenie formy.

Przyznanie nagrody I stopnia Leopoldowi Staffowi i Julianowi Tuwimowi jest z jednej strony wyrazem uznania, czci i opieki, jaką darzy się w Polsce zasłużonych współtwórców kultury narodowej, którzy długoletnim wysiłkiem artystycznym wpływali potężnie na kształtowanie się naszego języka poetyckiego i realistycznego warsztatu poetyckiego — a jednocześnie w obliczu problemów naszej współczesnej poezji, które wyżej wymieniliśmy — jest wyraźnym wskazaniem młodszemu pokoleniu, wzorów realistycznej poetyki.

Niejednokrotnie podkreślano, że w zasadniczym swym nurcie wiersze Staffa mogą służyć za przykład nowoczesnego, racjonalistycznego i realistycznego warsztatu twórczego, niejednokrotnie pisano o wielkim poczuciu słowa i odpowiedzialności za słowo w większości wierszy Tuwima.

W walce o celność i precyzję, prostotę i bezpośredniość wyrazu poetyckiego dla wielkich treści naszej epoki twórczość tegorocznych laureatów stanowić może „podręcznik poetyki, na którym studiować mogą adepci poetyckiego realizmu".

Jak to dobitnie wyraził jeden z naszych poetów; „Leopold Staff, największy z żyjących poetów polskich, jest dla nas dzisiaj widomym znakiem związków między poezją współczesną i poezją lat ubiegłych."

Dla rozwoju Staffa, którego pierwszy okres twórczości przypada na lata panowania młodopolskiego konwenansu, dekadenckiej pogardy rzeczywistości, ucieczki od życia, od zagadnień społecznych, zatracenia komunikatywności i prostoty myśli i języka — charakterystyczne jest właśnie stopniowe wyzwalanie się z młodopolskiej maniery, poszukiwanie własnego wyrazu, prostej a coraz doskonalszej formy, nasycanie swych utworów coraz to bardziej konkretną, ludzką i społeczną treścią.

Jest to wynikiem stałego pogłębiania się humanistycznej postawy autora i zbliżania do życia klas uciskanych, nie w poszukiwaniu dreszczyku emocji, lecz ze szczerego przejęcia się dolą tych klas, dla wyrażenia potężnego protestu i oskarżenia.

Wspomnijmy tu wiersze typu „Krysta spod płota", „Jęk wyklętych zaułków" — cykl wierszy „Ścieżki polne" — przeciwstawiających się prawdą i konkretnością wyrazu obrazowania ówczesnym tendencjom ludomańskim, a wreszcie antywojenne wiersze z okresu I wojny światowej — i przepojone głęboką ludzką treścią wiersze ostatnie.

Staff — mistrz wersyfikacji, która tak szwankuje u naszych młodych twórców, poeta silnej indywidualności twórczej — prostego pięknego języka, liryk, dramaturg i doskonały tłumacz arcydzieł literatury światowej — widomy symbol związków i ciągłości kultury narodowej, to poeta, do którego należy wciąż sięgać, nie dla bezkrytycznego naśladownictwa, lecz dla wzbogacenia nowego, twórczego warsztatu poetyckiego o te cenne doświadczenie, jakie Staff nagromadził w ciągu swej długiej twórczości.

Julian Tuwim—drugi z nagrodzonych w roku bieżącym poetów wywierał na poezję polską w ciągu ostatniego trzydziestolecia równie wielki jak Staff a niewątpliwie konkretniejszy jeszcze wpływ.

W okresie sanacji nazwisko Tuwima łączyło się zawsze z pojęciem bezkompromisowej walki z faszyzacją życia, w imię obrony wolności i praw pracującego człowieka. Aczkolwiek wówczas nie z pozycji marksistowskich Tuwim, wnikliwy badacz „codzienności" Polski sanacyjnej, dawał ostry krytyczny obraz stosunków kapitalistycznych, demaskując zakłamanie, nicość i podłość ustroju i nędzę ówczesnego życia.

Lata wojny przyniosły m. in. „Modlitwę" i „Kwiaty Polskie", których fragmenty z racji swej trafności politycznej, umiłowania ojczyny i jej ludu, z racji piękności poetyckiego słowa przeszły do żywego skarbca narodowej literatury.

Po powrocie do kraju poeta włączył się w rytm socjalistycznego budownictwa, wzmacniają nową literaturą zarówno oryginalną twórczością jak i nowymi przekładami rosyjskimi i radzieckimi. Drukowany niedawno wiersz „Ex Oriente" — świetny, pełen najgłębszego liryzmu i prawdy pomnik przyjaźni polsko-radzieckiej — świadczy o dalszym rozwoju poety.

Na osobne omówienie zasługuje twórczość przekładowa Tuwima. W szeregu świetnych prac — od „Lutni Puszkina" do ostatnich przekładów Lermontowa i Gribojedowa — potrafił on oddać całe piękno i głębię klasycznej literatury rosyjskiej. I nie tylko klasycznej. Ogromną popularnością cieszą się tuwimowskie przekłady „Obłoku w spodniach", „Dnieprostroju", „Grenady". Nie ma chyba w Polsce miłośnika poezji, który by nie podziwiał niezwykłej wszechstronności talentu poety, również świetnie tłumaczącego Swietłowa jak Majakowskiego i Bezimienskiego. Państwo Ludowe zasłużenie nagrodziło poetę, dzięki któremu budujący socjalizm naród mógł poznać i pokochać literaturę swego wielkiego sojusznika.

*

W dziale prozy nagrody otrzymało 7 pisarzy.

Mimo swej różnorodności nagrodzone dzieła zamykają się bez reszty w wielkich zagadnieniach Planu 6-letniego i Frontu Narodowego.

Wyrazem stosunku Ludowego Państwa do postępowych tradycji naszej kultury, do których twórczość nasza winna nawiązywać, w których doświadczenie winna się wzbogacać i których znajomość winna w masach narodu upowszechniać, jest przyznanie nagrody II stopnia Jerzemu Broszkiewiczowi za historyczną powieść o Chopinie pt. „Kształt miłości". Powieść ta pokazuje jak kształtowała się i nasycała postępowymi i rewolucyjnymi pierwiastkami twórczość Chopina na plastycznie zarysowanym tle ówczesnych stosunków politycznych i społecznych.

Zaznaczmy również, że nagrodę zespołową I stopnia otrzymał Roman Brandstaeter za libretto do opery Szeligowskiego „Bunt żaków", nawiązującą do postępowych tradycji naszego szkolnictwa.

Uznanie Polski budującej socjalizm dla pisarzy, stojących dotychczas na odrębnych pozycjach ideowych, którzy podjęli uczciwie trudną próbę wejścia na tory realizmu socjalistycznnego, znalazło wyraz w przyznaniu nagród państwowych Gustawowi Morcinkowi za powieść „Pokład Joanny" (nagroda II stopnia) i Annie Kowalskiej za powieść „Wielka próba" (nagroda III stopnia). Lud śląski, a wraz z nim cały naród powita ze szczególnym zadowoleniem ten sukces Morcinka, pisarza ludu śląskiego, który potrafił w tym wielkim okresie historycznym, jaki przeżywamy, wybrać jedyną słuszną drogę klasy robotniczej Śląska, budującej socjalizm.

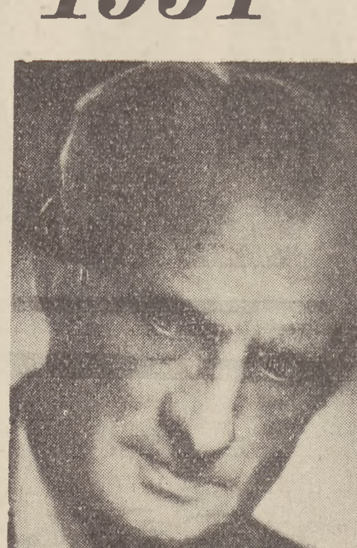
Jednym z najważniejszych braków naszej literatury było do niedawna zaniedbanie sprawy literatury młodzieżowej.

A przecież młodzież robotnicza i chłopska to nasz największy skarb i nadzieja — to nasze kadry, które — „zadecydują o wszystkim".

Na ten niepokojący stan zwracała uwagę Partia i ZMP. Na odbytym w ubiegłym roku Plenum ZLP przedstawicielka Wydziału Harcerskiego ZG ZMP Wiktoria Dewitz zwróciła się do pisarzy o pomoc w pracy wychowawczej, o dobre książki dla dzieci i młodzieży.

W roku bieżącym sprawie tej ZLP poświęcił specjalne narady. Przyznanie nagród autorkom pierwszych nowych, dobrych książek dla młodzieży — Halinie Rudnickiej (nagroda II stopnia za powieść pt. „Uczniowie Spartakusa") i Janinie Broniewskiej (nagroda III stopnia za powieść pt. „Ogniwo") jest świadectwem wagi, jaką Rząd Ludowy przykłada dla tego rodzaju twórczości, jest wyrazem wielkiego i niecierpiącego zwłoki zamówienia społecznego na powieść dla młodzieży.

W niemniejszym stopniu zasługują na uwagę (w ramach przyznanych nagród) takie pozycje jak: powieść Aleksandra Ścibora-Rylskiego pt. „Węgiel" i powieść Lesława Bartelskiego p. t. „Ludzie zza rzeki" — obie odznaczone nagrodami III stopnia.



Julian Tuwim

Pozycje te poruszają, aczkolwiek w niezbyt jeszcze doskonałej formie kluczowe zagadnienia naszej walki o socjalizm w przemyśle (A. Ścibor-Rylski) i na wsi (L. Bartelski) i są wyrazem dalszych zdobyczy naszego powieściopisarstwa na drodze do realizmu socjalistycznego.

Należy tutaj wymienić także nagrodzoną zespołową premią II stopnia sztukę Janusza Warmińskiego pt. „Zwycięstwo" wprowadzającą nowatorsko na naszą scenę — zagadnienie walki klasowej na wsi i sztukę Adama Tarna pt. „Zwykła sprawa" (również nagroda zespołowa II stopnia) — wzbogacającą nasz teatr o zagadnienie walki z imperializmem amerykańskim.

W dziale krytyki nagrodę otrzymał Ryszard Matuszewski za książkę „Literatura na przełomie".

Prace krytyczne Matuszewskiego podejmują trudne zadanie niesienia teoretycznej pomocy dla naszej literatury w jej walce o realizm socjalistyczny i w znacznej części stanowią pionierską próbę oceny skomplikowanych zagadnień współczesnego pisarstwa.

Dyskusja nad nagrodzonymi pozycjami i ich bliższa analiza przyniesie niewątpliwie cenne wskazówki zarówno ideologiczne jak warsztatowe dla naszych pisarzy i stanie się poważnym bodźcem do dalszej ich twórczości.

Witold Bilicki

HELENA ZAWORSKA

UDANA PRÓBA



Anna Kowalska

Wraz z epoką wielkich przemian i budownictwa socjalistycznego odeszliśmy daleko od ideału literatury, opisującej skrzętnie, bezstronnie i bezpretensjonalnie wydarzenia poprzedniego dnia, jako ciąg spraw zwykłych i całkowicie wytłumaczalnych przez schemat: środowisko — charakter — warunki. Przestał nas interesować światek widziany oczyma bohatera patrzącego poza swoje podwórko i nie roszczącego sobie pretensji do analizy rzeczywistości, w której mu żyć sądzono. Przejść od owego notowania wydarzeń i spraw spoza których nie wiele widać — do szerokich uogólnień, do wyboru tego, co typowe, do ukazania dialektyki rozwoju rzeczywistości, oto droga którą musiał pójść pisarz owych „książek wczorajszych" by dojść — względnie zbliżyć się — do twórczej metody realizmu socjalistycznego. Drogę tę wybrała Anna Kowalska, autorka kilku (przeważnie wraz z mężem, Jerzym Kowalskim) przed wojną wydanych powieści, napisanej przed dwoma laty „Uliczki Klasztornej" i wreszcie — wydanej niedawno powieści **„Wielka próba"**.

„Uliczka Klasztorna" nie przyniosła jeszcze zwrotu, jaki zadecydowałby o odejściu Kowalskiej od dawnej techniki pisarskiej. Książka mogąca — ze względu na tematykę — stać się dokumentem historycznych przemian, jakimi było osiedlenie i dźwiganie z gruzów polskiego Wrocławia, stała się kroniką sąsiedzkich zatargów, sentymentów i nienawiści obywateli ulicy Klasztornej. Powieść pozbawiona kośćca ideowego i problemowego, rozpadła się na szereg problemików i sensacyjek, by jako element wiążący całość, uratować sprawę przeradzania się początkowej niechęci nowoosiedlonych ludzi w życzliwość sąsiedzką, a niekiedy — w przyjaźń. Mieszkańcy uliczki Klasztornej mogliby przeżyć swoje konflikty 20 lat wcześniej, tak dalece kontekst historyczny nie decyduje o typie problemów. Książka nie przyniosła prawdziwej i rzetelnej wiedzy o świecie, autorka poprzestała na doborze konfliktów nietypowych i mało ważnych.

O ile pierwsza powojenna powieść Kowalskiej należy do książek dawnego typu, o tyle druga oznacza zamknięcie owego cyklu w twórczości autorki. „Wieka próba" jest książką ambitną i nowatorską. Pozbawiona ograniczeń małego realizmu, nie łudząca czytelnika problemami, które zawieszone w próżni społecznej i historycznej stają się problemami pozornymi — ukazuje ważny i przy całej oryginalności tematyki — typowy wycinek rzeczywistości. Wybór problematyki odcina wyraźnie nową pozycję Kowalskiej od jej „Uliczki Klasztornej" i decyduje o zasadniczym zwrocie ideowo-artystycznym autorki. To już nie wąski krąg spraw i doświadczeń mieszkańców małej uliczki. „Wielka próba" — to obraz przemian socjalistycznych, ukazanych na jednym z najtrudniejszych odcinków, jakim jest proces przebudowy człowieka. Problem ten postawiony jest i rozwiązany na dwóch płaszczyznach: pierwsza i zasadnicza — to sprawa pracy i osiągnięć zakładu szkolenia inwalidów, przygotowującego i włączającego do procesu produkcji ludzi, zdawałoby się już na zawsze bezużytecznych; druga — to sprawa przechodzenia niezdecydowanego i pełnego oporów inteligenta na pozycje świadomej walki ideologicznej i pracy społecznej. Jednak podjęcie tematyki istotnej, typowej i związanej z budownictwem socjalistycznym — to dopiero krok pierwszy. Pozostaje jeszcze zagadnienie, jak problematyka owa została ujęta w ramy obrazu artystycznego, czy dawna metoda pisarska nie zaciążyła nad powieścią w sposób obniżający jej wartość i pomniejszający wagę wyboru konfliktów. Na ogół na pytanie to należy odpowiedzieć pozytywnie. Kowalska w „Wielkiej próbie" odeszła zdecydowanie od tradycji tak żywych jeszcze w „Uliczce klasztornej" — waga postawionego problemu nie rozpłynęła się w szeregu spraw małych, nie zabrakło właściwych perspektyw i szerokich uogólnień.

Sprawa przebudowy człowieka w ustroju socjalistycznym w powieści Kowalskiej ukazana została na odcinku trudnym i w literaturze dotychczas nieznanym. Zdawałoby się, iż praca zakładu szkolenia inwalidów nie może dostarczyć tematyki pasjonującej w sensie ukazania wielkich przemian, charakteryzujących rozwój naszej rzeczywistości. Inwalidzi, a więc ludzie w większym lub mniejszym stopniu wykluczeni z procesu produkcji fatalnością swego kalectwa, stojący poza możliwością uczestniczenia w dziele odbudowy i przebudowy kraju. Kula lub proteza, renta, ciężkie życie kaleki — oto dla laika problem inwalidy. Trudno sobie wyobrazić, że i na tym odcinku mogła dokonać się rewolucja, oznaczająca całkowitą rewizję stosunku do inwalidztwa, rezygnując z fikcji pomocy, jaką darzyło inwalidów państwo kapitalistyczne, ukazująca natomiast perspektywę ponownego włączenia tych ludzi do procesów produkcji. Oryginalność wybranego przez Kowalską tematu potwierdza tylko typowość, rozmach i znaczenie przemian, jakie obserwować można na każdym, nawet na tak mało znanym odcinku. Niezwykłość opisywanego terenu i spraw posiadających swą odrębną specyfikę nie ograniczyła szerokiego spojrzenia autorki, której grozić mogło zwężenie tematyki lub pójście na łatwiznę wydobywania efektów „lokalnych", problemów związanych jedynie z typem życia inwalidzkiego. Kowalska uchroniła się od tych błędów, co — zwłaszcza ze względu na dotychczasową jej twórczość — szczególnie zasługuje na podkreślenie. Zakład w Wojtowicach nie jest pretekstem do wydobywania ciekawostek — ilustruje on również dobrze, jak każdy inny odcinek — charakter i tempo budownictwa socjalistycznego. Bohaterowie „Wielkiej próby" — to ludzie najbardziej poszkodowani przez kapitalistyczne stosunki i imperialistyczną wojnę. Życie ich jest traktowane jako fakt istniejący sam dla siebie i przy opisywaniu nie wymagający komentarzy. Anna Kowalska ukazała człowieka, którego los zdeterminowany jest przez układ społeczny, którego życie jest określone grą sił, dających się ściśle określić. Los Mazura, Szarego, Ragonia uwarunkowała bezwzględność kapitalizmu, który najpierw odmawiał im prawa do pracy i nauki, a potem odebrał zdrowie i możliwość normalnego życia. Ani minione życie tych ludzi, ani ich kalectwo nie jest w książce Kowalskiej sprawą przypadku. Nici, wiążące los człowieka z szerokim tłem wypadków ukazane są w sposób wyraźny. Bezręki inwalida Królikowski, który kikutem pisze wspomnienia by „dać przykład tego, jak to bywało" reprezentuje najwyższy stopień uświadomienia klasowego, zrozumienia przyczyn, które w taki, a nie inny sposób układały jego życie robotnika-nędzarza. Uświadomienie to jest pierwszym etapem przebudowy psychiki ludzi, zgromadzonych w wojtowickim zakładzie. Etap drugi — to danie im możliwości rozpoczęcia nowego życia, przekonanie o wartości ich pracy. „Bardzo się przywiązałem do swojej pracy. Uleczyła mnie. Dlatego wierzę, że tylko praca może wyleczyć inwalidów Człowiek może człowieka uratować od śmierci, ale zdrowie może wrócić tylko świadomość, że się jest potrzebnym" — mówi dyrektor Kalina. I jego słowa znajdują potwierdzenie. Życie i psychika ludzi, będących w zakładzie zmienia praca i to nie tylko sama możliwość jej wykonywania, ale i nowy stosunek do niej, twórcze ambicje racjonalizatorskie, zobowiązania terminowe. Praca zakładu bowiem łączy się bezpośrednio z planem produkcyjnym, obejmującym cały kraj. Wielką próbą w książce Kowalskiej jest przedterminowe przygotowanie do pracy w przemyśle 50 wychowanków kursu. Próba ma tym większe znaczenie, iż przygotowanie to nie obejmuje tylko sumy wiadomości technicznych, lecz ważniejsze od nich przygotowanie psychiczne ludzi, których zniechęcenie do życia i obojętność w stosunku do rozwijającej się rzeczywistości nie zawsze łatwo było przezwyciężyć. Walka o produkcję zbiega się tu więc z walką o człowieka. Fakt ten Kowalska dojrzała i uwzględniła, ustrzegając się jednostronności w obserwacji i przesunięcia proporcji w kierunku spraw, bądź czysto produkcyjnych, bądź też konfliktów wyłącznie psychicznych. Docenienie znaczenia pracy w procesie przebudowy człowieka jest obok ścisłego powiązania losów ludzi z układem społecznym - drugą ważną wartością „Wielkiej próby".

Tematyka podjęta przez Kowalską posiada oczywistą wagę nie tylko ze względu na decydujący o tempie naszego budownictwa problemu przygotowania nowych kadr i pasjonującą sprawę przebudowy psychiki człowieka. Problemem dla „Wielkiej próby" może najważniejszym, jest walka wypowiedziana wojnie Niewiele jest książek o powojennym budownictwie, w których sprawa minionej wojny i sprawą walki o pokój byłyby tak nierozerwalnie złączone z tematyką, jak to jest w „Wielkiej próbie" Bohaterami książki Kowalskiej są ludzie, których wojna dotknęła najstraszliwiej. „Wszyscy widzą zburzone miasta, ale przeraziliby się, jakby poznali, co wojna porobiła z ludźmi. Przecież to setki tysięcy tego. Jak słyszę, że komuś marzy się nowa wojna, to zawsze myślę, że gdyby go tak na estradzie posadzić, a przed nim żeby maszerowali inwalidzi, niechby się im dobrze przypatrzył. Albo złapać takiego faceta i dać na ochroniarza do kadłubków, wie pani, tych, którym tylko korpus został" — dowodzi namiętnie Raubiszko i słowa te ilustrują całą atmosferę książki, w której wojna jest bezpośrednim wrogiem tych ludzi, sprawą najbardziej nienawistną. Zbyteczne tu są jakiekolwiek deklaratywne stwierdzenia, wymowa obrazów takich, jak pisanie piórem zatkniętym za pasek kikuta, jak nieporadność bezrękich i cierpienia beznogich — wystarcza za wszelkie argumenty. Dla bohaterów „Wielkiej próby" powrót do życia i pracy jest najpiękniejszym zwycięstwem pokoju, o który zaczynają walczyć wraz z przystąpieniem do produkcji. Autorka sprawę wojny i pokoju, tak ściśle związaną z tematyką jej powieści podkreśla w sposób prosty i bardzo wymowny. Włącza ją po prostu do najważniejszych i jak najbardziej osobistych spraw każdego człowieka.

Problem pracy i osiągnięć ludzi w zakładzie wojtowickim jest problemem centralnym, ale nie jedynym. Obok niego istnieje sprawa ideowej drogi inteligenta, zbliżającego się ku coraz pełniejszemu zrozumieniu istoty zachodzących przemian. Fakt owego coraz bardziej świadomego aktywizowania się, nie pozbawionego jeszcze oporów inteligenta ukazała autorka na samej sobie. W sposób bezpretensjonalny, częściowo pamiętnikarski, przez bezpośrednią narrację odautorską opisuje Kowalska dyskretnie i drugoplanowo, lecz wyraźnie swoją własną przemianę. Od początkowego, niezbyt szczerego zresztą zainteresowania się zakładem inwalidzkim, aż do stwierdzenia iż nigdy tego zakładu nie zapomni, gdyż „dał on jej poznać ludzi dzielniejszych od siebie" — dzieliła autorkę dość długa droga niepewności i oporów inteligentki, która za cenę bezpośredniego kontaktu z nowymi ludźmi boi się zostać „proletariuszem kutluralnym". Wątpliwości typu: „Co było kulturą? Czy wiara w sens wysiłku młodego górnika, czy elegancki sceptycyzm poety, dla którego rewolucja była owszem, pożywką literacką?" — rozstrzyga zaangażowanie się autorki w pracę z ludźmi, których wysiłek stanowi o sensie kultury, walki, życia. Doświadczenia, jakie wyniosła autorka z wojtowickiego zakładu zniwelowały niepewności, problem został rozstrzygnięty: tylko bezpośredni udział w budowie nowego życia jest właściwą drogą inteligenta, tylko kontakt z ludźmi, którzy tę nową rzeczywistość tworzą — jest możliwością twórczą pisarza.

Dwupłaszczyznowość ukazania problematyki określiła konstrukcję książki Kowalskiej, rozbijając ją na część pamiętnikarską (partie, gdzie autorka opowiada o własnych przeżyciach) i część zbliżoną do formy reportażowej (tam, gdzie opisuje ludzi i wydarzenia w zakładzie). Konstrukcja ta, wynikająca z włączenia do powieści przemiany osobistej autorki, ma pewne zalety, jak bezpośredniość i naturalność opisu, wpływa jednak i na wady książki. Powieść Kowalskiej posiada bowiem pewne dłużyzny i pewne uproszczenia. W części pamiętnikarskiej autorka zbyt daje się powodować wspomnieniom i uwagom, które rozbijając tematykę nic nowego do książki nie wnoszą (np. nie pozbawiony dłużyzn opis powrotu z wysiedlenia), natomiast reportażowa nieomal forma, w jakiej autorka przekazuje nam wiadomości o zakładzie sprawia, iż postacie dla książki centralne (Raubiszko, Ragoń, Królikowski, Wysocki) ukazane są dość powierzchownie i fragmnetarycznie, bez dostatecznego pogłębienia psychologicznego. Po odłożeniu „Wiekiej próby" ma się wrażenie iż autorka dobrze ustawiła postacie, dostrzegła konflikty i zarysowała problematykę, lecz na owych 160-ciu stronach nie zdążyła powiedzieć o postaciach i wydarzeniach wszystkiego, co dla pełnego ich przedstawienia byłoby potrzebne.

Waga problematyki, dostrzeżenie istotnych cech rozwoju naszej rzeczywistości, ukazanie fragmentu socjalistycznego budownictwa — to trwałe wartości, jakie przynosi książka Anny Kowalskiej. Próba podjęcia nowej tematyki okazała się udana i należy do niewątpliwych osiągnięć pisarskich autorki.

Helena Zaworska

*) Anna Kowalska — „Wielka próba". W-wa 1951 r. PIW str. 160.

WANDA ŻÓŁKIEWSKA

UCZNIOWIE SPARTAKUSA*)

Wśród licznych potrzeb naszego rynku księgarskiego, potrzeb niezaspokojonych a utrudniających unaocznienie i zrozumienie ciągłości prądu walk rewolucyjnych — bardzo istotną lukę stanowi brak powieści historycznej. Instytucje wydawnicze podejmują ciężką i odpowiedzialną pracę, by dokładnie przejrzeć te pozycje literatury dawnej, które by można wznowić z pożytkiem dla dzisiejszego czytelnika. To, co dotąd w tym zakresie zdołano zrobić, kosztowało wiele wysiłków i wniosło na rynek trochę książek historycznych. Pojawił się Józef Kraszewski. Systematycznie wychodzi Teodor Tomasz Jeż. Mamy kilka pozycji Walerego Łozińskiego i innych. Wszystkie te wysiłki nie zmieniły sytuacji w sposób decydujący, braki mamy nadal.

Gorzej jeszcze o wiele przedstawia się sprawa historycznej powieści dla młodzieży. Wznowienia dawnych pozycji są prawie niemożliwe. Wszystko bowiem, niemal, co stworzyła w tym zakresie polska literatura, trzeba by dziś opatrywać taką ilością komentarzy, jakiej by nie strawił czytelnik dorosły, a przez które w żaden sposób nie przebrnie czytelnik młodociany, wymagający wielkiej ścisłości i jasności treści historycznych. Historyczne powieści dla młodzieży pisane przeważnie z pozycji imperialistycznych, w oparciu o idealistyczne metody badań dawały i dają fałszywy obraz epok, wydarzeń i postaci. Wśród nich trafiają się nieświadome i świadome fałszerstwa. W tych ostatnich celowała Helena Zakrzewska, przyoblekająca akty jawnego mordu, wściekłej nienawiści imperialistycznej w świetliste szaty sentymentów narodowych.

Miniona epoka, negująca dziecko robotnicze i chłopskie jako obiekt twórczości artystycznej, hodująca natomiast pieczołowicie pod izolującym od życia kloszem dziecko burżuazyjne — nie mogła dać obrazów prawdziwej historii i prawdziwego bohatera, prawdziwej walki. Musiałaby bowiem nieodzownie sięgnąć do rewolucyjnych ruchów robotniczych i chłopskich, a tym samym odkryć ich przyczyny. A to było niebezpieczne i niewielu pisarzy miało odwagę patrzeć prawdzie w twarz. Najpłodniejszy pisarz historyczny, Walery Przyborowski, z wielkim entuzjazmem sięgał do wydarzeń, w których Polska poszczycić się mogła niesławnym udziałem w karierze sławnych twórców imperializmu. Pobrzękiwanie szlachecką szabelką, „tajność" polskiego rycerstwa, pawi ogon rzekomej świetności wojska — wszystko nie służące niczemu lub służące aktom gwałtu i niesprawiedliwości — wszystko to, nie nadaje się już dziś do rozpatrywania.

A przecież literatura historyczna jest dziś bardziej potrzebna niż kiedy indziej. Młodzież domaga się jej. Pragnie bowiem przyswoić sobie treść i idee dawnego życia, pragnie sobie wytworzyć wizję minionych wydarzeń, pragnie odtworzyć historyczny ciąg walk o niepodległość i sprawiedliwość społeczną. Rzesze dzieci robotniczych i chłopskich, to masowy odbiorca literatury w ogóle, ale odbiorca, którego pisarz musi nauczyć czytać dziś i na całe życie. Dzisiejszy młody czytelnik musi korzystać z książki jak z wiedzy o świecie, zawartej w znakomitej, bo wyrazistej i pięknej wizji literackiej. Literatura musi mu pomagać w rozumieniu procesów współczesnego życia przez kojarzenie ich w konsekwentną i logiczną całość z procesami epok dawnych. Dlatego też nie ma chyba w tej chwili ważniejszego zadania dla pisarzy, jak tworzenie nowej historii wydarzeń rewolucyjnych i nowej historii twórców socjalizmu. Zadanie to trudne i odpowiedzialne.

Podjęła je pierwsza w powojennej Polsce Halina Rudnicka w swojej wydanej niedawno przez Naszą Księgarnię książce pt. „Uczniowie Spartakusa".

Autorka odważnie sięgnęła do trudnej tematyki i jeszcze trudniejszej problematyki rozwarstwień klasowych w starożytnym świecie, do wzajemnego stosunku klas, do haniebnego ucisku i buntowniczej walki.

Jako teren tej walki wybiera szkołę gladiatorów, budzącą się do uświadomienia pod kierunkiem Spartakusa. Do szkoły tej trafia po długich, pełnych grozy perypetiach, Kalias, czternastoletni chłopiec grecki, porwany ze swego rodzinnego domu i wraz z matką zaprzedany w niewolę rzymską przez korsarza i legalnego obywatela rzymskiego w jednej osobie, Milona vel Wibiusza.

Na losach swego bohatera głównego, Kaliasa, typowych zresztą dla rzymskiego niewolnictwa, autorka pokazuje straszliwą władzę pana nad życiem swego niewolnika, straszliwe bezprawie, strącające w jednej chwili człowieka na dno nędzy i hańby, choćby tak, jak Kalias był synem wolnego obywatela ateńskiego. Każdemu możnowładcy rzymskiemu mogła przyjść chętka łatwego wzbogacenia się, dlatego też zapuszczanie się na dalekie terytoria, tropienie ludzi, chwytanie ich i wystawianie na sprzedaż jak bydło, mogło się zawsze trafić. Trafiło się więc i Kaliasowi, i jego matce.

Jedynie swojej inteligencji i woli życia Kalias zawdzięczał to, że mu się udało zbiec i że wiedziony zdrowym instynktem społecznym dostał się do szkoły gladiatorów pod opiekę Spartakusa. Tu wraz z adeptami tej szkoły przeżywa wyzwolenie, a potem idzie z nimi szlakiem ich zwycięstw i klęsk. Bunt gladiatorów staje się największym dniem jego życia, wpływ Spartakusa, jego idea walki o wyzwolenie człowieka zaprawia Kaliasa na całe życie wolą działania przeciw uciskowi i wolą ostatecznego zwycięstwa. Mały Kalias dojrzewa do roli żołnierza rewolucji. I choć Spartakus przegrywa, kiedyś Kalias i inni młodzi wychowani przez Spartakusa rozpoczną sprawę na nowo. Taką nadzieję pozostawia ostatnia pieśń Sotiona, starego rewolucjonisty z Sycylii, zamykająca powieść.

Książka Rudnickiej ma duże wartości poznawcze i pedagogiczne. Autorka „Uczniów Spartakusa" z marksistowskich pozycji patrzy na starożytny świat, odkrywając przed czytelnikiem spory szmat zupełnie dotąd nieznanego życia, ustawiając wydarzenia i problematykę opisywanych czasów w ich właściwych proporcjach. Od niej dopiero młody czytelnik, dowie się, że niewolnik i nędzarz rzymski to nie bezwolne, wyzute z myśli bydlę, umierające w pokorze na arenach cyrkowych, pod batogami czy na wojnie, ale człowiek zdolny do walki z ciemiężycielami. Drobny początkowo oddział Spartakusa powiększa się w krótkim czasie o wielkie rzesze, z których powstaje wielotysięczna armia. I ta armia daje sobie radę z przeważającymi niejednokrotnie siłami wroga, dlatego przede wszystkim, że kieruje nią idea wolności i sprawiedliwości, rozniecona przez Spartakusa. A że Spartakus ma rację, wiedzą o tym wszyscy jego żołnierze, wyrośli w warunkach przemocy, upodlenia, bezprawia.

Książka Rudnickiej wzbogaci wiedzę dziecka o świecie. Pokaże mu starożytność nie od strony posiadaczy, a od strony ludzi wyjętych spod prawa, stanowiących olbrzymią większość, utrzymujących Rzym swą ciężką pracą. Pokaże pierwsze etapy walk o wolność człowieka i równe dlań prawa, pokaże wodza tych walk, Spartakusa, przemilczanego celowo przez historyków i przez programy szkolne przedwrześniowej Polski.

Książka Rudnickiej zbuduje pomost do nowych tradycji historycznych, a jednocześnie pomoże je dziecku zrozumieć i przeżyć dzięki małemu Kaliasowi, którego dzieje opisane w książce są ściśle związane ze Spartakusem i jego rewolucyjną działalnością. Losy Kaliasa, jego odczucia, jego stosunek do Spartakusa, a wreszcie rozwój umysłowy i psychiczny uwarunkowany całkowicie sytuacjami życiowymi, w których mały bohater się znajduje — w znacznej mierze przybliżą do czytelnika wizję dawnego życia, bardzo odległych, a jednocześnie bardzo żywotnych spraw.

„Uczniowie Spartakusa" budzić będą w czytelniku najlepsze jego uczucia, wychowywać w nim i pielęgnować poczucie sprawiedliwości, uznanie dla bohaterstwa, rozumu, odpowiedzialności za czyny. Postać Spartakusa pozostanie w jego pamięci jako wzór bohaterstwa godny naśladowania. Sotion zaś przekaże mu wartości wytrwałego wysiłku, który nie cofa się przed przeciwnościami.

Nowa książka Rudnickiej ucząc i wychowując spełni bardzo ważne zadanie wobec młodzieży, sięgającej dziś niejednokrotnie do złej lektury w poszukiwaniu przygody, sensacji, egzotyki. „Uczniowie Spartakusa" reprezentują te trzy ważne elementy. W pewnej mierze jednak tylko. Tok opowiadania Rudnickiej wygrany jest bowiem za bardzo na jednej nucie, trochę beznamiętny. Wiele wątków domagających się przez swój charakter dramatyczności, ustawienia przed czytelnikiem w akcji i napięciu uczuciowym, autorka zbywa kilkoma zdaniami relacji od siebie. Tak np. rozprawa Spartakusa z bykiem andaluzyjskim na igrzyskach i wydarcie ze szponów nieuchronnej śmierci jego ukochanego ucznia, Enomaosa — wymaga sceny, nie wzmianki w rozmyślaniach jednego z bohaterów. Decyduje o tym nie tylko charakter tego wydarzenia, ale i potrzeba należytego naświetlenia cech charakteru Spartakusa. Wizerunek tego znakomitego wodza i człowieka zyskałby na wyrazie, gdyby autorka mniej o nim opowiadała, bardziej go zaś uaktywniła w scenach dramatycznych przemawiających siłą napięć uczuciowych. Całe partie losów Kaliasa wymagają również scen i obrazów.

Zainteresowanie czytelnika rozbudzone w pierwszej części książki, opada z chwilą, gdy Kalias dostaje się do Spartakusa, jeszcze niżej spada od momentu niepowodzeń Spartakusa. Znalezienie matki Kaliasa nic już właściwie nie daje, dalsze jej dzieje stają się mało interesujące, zbędne. Zbędną również wydaje się postać Sary, wprowadzona zapewne ze względów ideologicznych, co ujdzie chyba uwagi czytelnika, ponieważ rola Sary w akcji i losach bohaterów głównych jest niedostatecznie usprawiedliwiona.

Zakończenie tej książki także nie jest mocnym akordem. W atmosferze klęski, motywem optymistycznym ma być pieśń Sotiona, głosząca odrodzenie się idei Spartakusa i zwycięstwo tych idei, wobec jednak bezruchu i łez Kaliasa motyw ten wypada nieprzekonywająco. Dla niewyrobionego czytelnika słowa pieśni są tylko słowami pieśni, nie każdy zada sobie trud odcyfrowania alegorii. Dla młodzieży wiele wymowniejsza będzie postawa Kaliasa, niż zawartość ideologiczna pieśni Sotiona. A przecież element optymistyczny powinien być dominującym akcentem zakończenia.

Najistotniejszym motywem budującym wizję storożytnego świata w przeżyciu czytelnika jest w „Uczniach Spartakusa" poezja. Autorka zgromadziła tu bogaty wybór starych wierszy, którymi posługuje się w momentach wymagających komentarza obyczajowego lub ideologicznego. To dobry, jakkolwiek nie najpewniejszy chwyt w stosunku do młodocianego czytelnika, który ma zwyczaj opuszczać partie książki niedostatecznie związane z akcją, nie posuwające tej akcji naprzód. Z tym faktem oczywiście liczyć się nie można, ale pamiętać o nim trzeba. Dlatego też niezbędne jest jak najbardziej pieczołowite rozłożenie różnych akcentów, wzbogacających wizję opisywanych wydarzeń i ich atmosfery. W książce zaś Rudnickiej wiemy, co się dzieje i w imię czego tak się dzieje, wyobrazić sobie wszakże miejsc akcji nie potrafimy. Akcja toczy się w pustce jakby, niewypełnionej krajobrazem ani bliskim ani dalszym. Miasta, przez które dąży Spartakus ze swoim wojskiem, przestrzenie przebyte przez Kaliasa w jego wędrówkach samotnych i z towarzyszami broni, pozostają nam zupełnie obce, nieodkryte przed naszymi oczami. Nie widzimy także ludzi, tłumu obywateli rzymskich. Pojawiają się oni na moment w końcowej części książki, mimo to wrażenie beżludzia pozostaje. W ten sposób sprawa Spartakusa, jakkolwiek poparta buntem gladiatorów, rozpływa się w niewytłumaczonej i jakby niezamierzonej przez autorkę samotności.

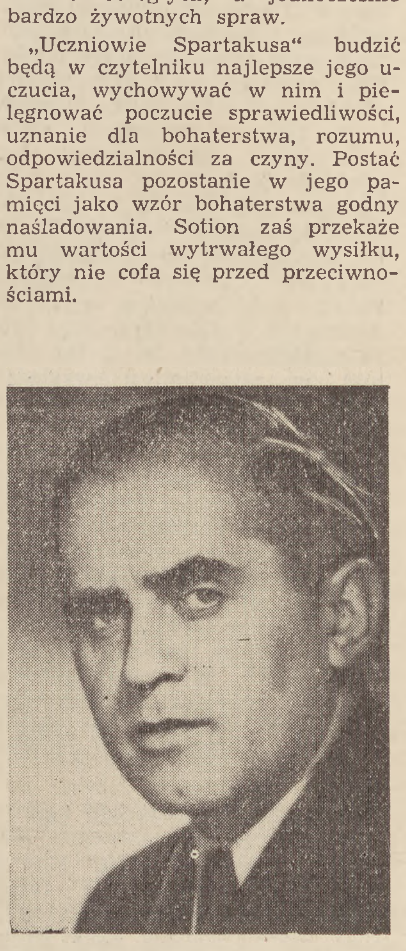
Krytyka książki Rudnickiej bynajmniej nie odbiera jej wartości. „Uczniowie Spartakusa" stawiają Rudnicką w rzędzie najlepszych pisarzy młodzieżowych. Droga zaś autorki „Polnej ścieżki" do jej ostatniej książki zasługuje na najwyższe uznanie. Każdy czytelnik „Uczniów Spartakusa" zrozumie, ile owocnej pracy tkwi w tym dziele, jak pionierska była ta praca. O jej wpływie kształcącym i wychowawczym dowiemy się z czasem od dzieci.

Wanda Żółkiewska

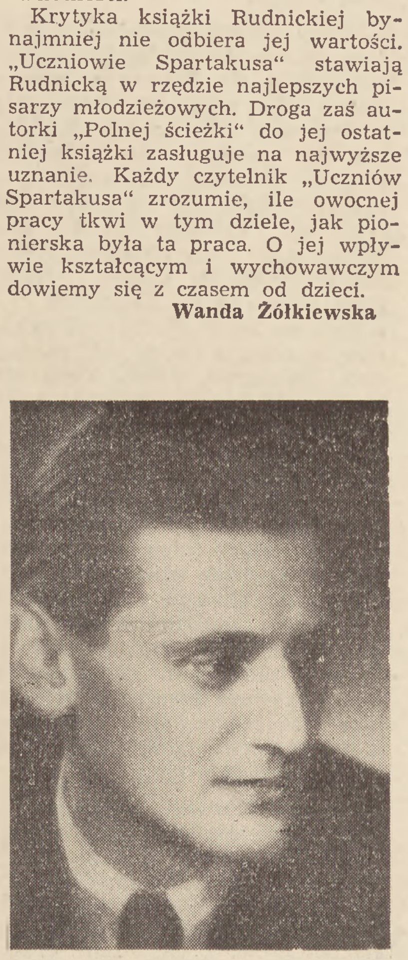
*) Halina Rudnicka — Uczniowie Spartakusa. Nasza Księgarnia. 1951.



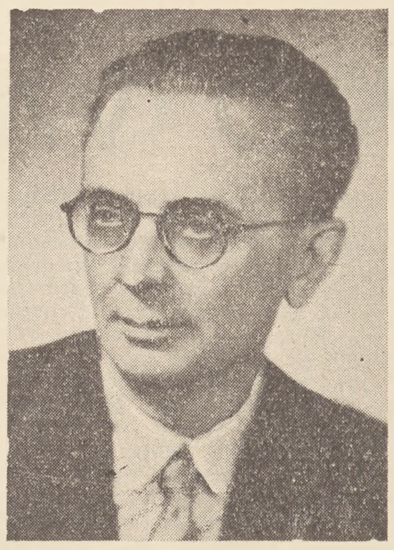
Prof. Stefan Żółkiewski



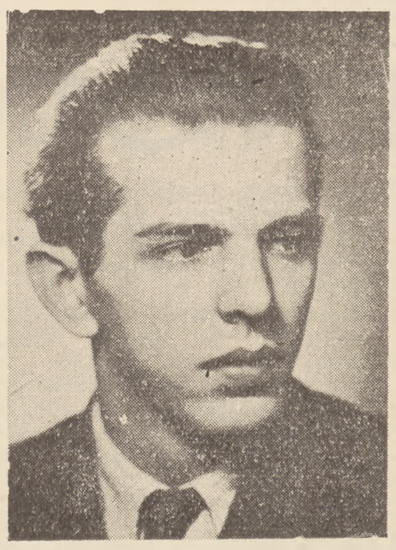
Prof. Kazimierz Wyka



Prof. Jan Kott



Gustaw Morcinek



Jerzy Broszkiewicz



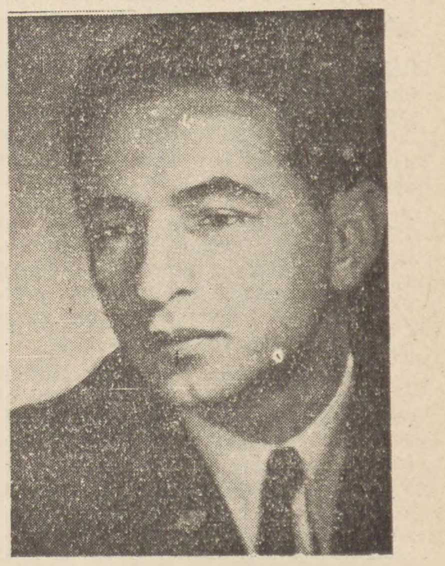
Ryszard Matuszewski



Janina Broniewska



Aleksander Ścibor-Rylski



Lesław Bartelski

STANISŁAW PIĘTAK

UCIECZKA ZE SŁUŻBY

(Z niedawnej przeszłości)

I

Jerzyk wspinał się wciąż, w górze
Przecież szedł ptaszek czerwony
Gałęzią i wiódł pieśń w chórze.
Lśnił się dziób jego zielony.

— Nie uciekaj, śliczny ptaszku.
Ja zginę, spadnę z gałęzi.
Gniazdko ci zrobię na daszku.
Inny cię złapie, uwięzi.
Jerzyk wciąż mówił i oto
Już łagodnie uniósł piąstkę,
Gdy naraz klasnęło błoto,
Krzyk zmiótł ciszę jak gałązkę.

— Gdzie krowy, piekielniku!
Zaduszę na śmierć, zabiję! —
Trząsł się gospodarz i w ryku
Brodził przez żyto po szyję.
„Jak? nie ma na łące bydła...
Matko, więc znowu zajęte..."
Jakby wierzył, że ma skrzydła,
Skoczył, gdzie powietrze ścięte...
Nad śmiercią Jerzyka liście
Płakały, gasł szum zieleni.
Co to jednak? Ach, jak kiście
Rączki się podniosły z ziemi...

I już biegł Jerzyk przez pola,
A za nim pogoń, wciąż pogoń.
Ludzie nieśli kije, koła,
Cień po oczach bił pożogą.
— Dalej... Jeszcze wał... O, dalej... —
Szeptał Jerzyk, skoczył w rzekę.
Przyjęły go wierne fale.
Oddały łozom w opiekę.

II

W piasku leżąc w cieniu krzaka,
Zasnął z wielkiego zmęczenia.
Nie słyszał więc, że zmierzch płakał
I że ciszą puchła ziemia.
Zerwał się, a tu już grzmiało —
I błyski smagały pole.
W jęku dźwigając ciało,
Pobiegł i czuł, jak strach kole...
Już wioski nie było widać,
Dyszały, biły się cienie.
Kłos na miedzy drżał jak dzida,
Bo go grom trącił spojrzeniem.
„I do mamy pójść nie mogę,
Gdzie ja, gdzie ja się ukryję?" —
Szeptał Jerzy, tropiąc drogę
I niósł w oczach błysku żmije.
„Miała dostać za mnie żyta.
Z czego biedna chleb upiecze?
Stanie boleścią przebita,
Płacz na sen ją znów powlecze...
Nie, nie wstąpię we drzwi domu—
Padnę przy Azora budzie...
Kiedy zmilknie przestrzeń gromu,
Ciało w świat daleki pójdzie..."
Wołał teraz i biegł z płaczem,
Bo płonęły zwierząt głowy —
I lęk chwiał się jak puchacze,
Piorun otwarł sen dąbrowy.
I już oto polna brzoza,
Wyrwana z ziemi, jak skrzypce,
Płynęła w błysku powrozach,
Jęki spadały w rozsypce.
Grom wtem uniósł nawet wioskę.
Domy szły... Ludzie w przestrzeni
Drżeli — i wlekli swą troskę.
Wicher w orły krzyk ich mienił.
Biegnąc co siły przed siebie,
Jerzyk jęczał, chwytał się drzew,
Co oddalały się w niebie,
Na oczach już sam poczuł krew.
Piorun rozciął o krok ziemię
I ścigał potoku wargi,
Padając, Jerzyk niósł brzemię
Boleści i szeptał skargi...

— Mówili, mówili w bajce,
Że wystarczy mi zawołać,
A tęcza poda już palce
I przed nieszczęściem mnie schowa
Niech się więc teraz to stanie.
Nieście mnie chmury i drzewa,
Ukryjcie w dalekim łanie
Pod skrawkiem ciepłego nieba.
Niech jadła mi tam nie braknie,
Niech książki mi kto przyniesie.
Będę czytał, jak świat łaknie —
I jak ptaszki żyją w lesie...
Chylił się i błyskawice
Ścierał z twarzy, z piersi jak mgłę.
Koiły żałość deszczu bicze.
Wstąpił w sen nagle jak na krę.

III

Białe przestrzenie i złote.
Tu kwiaty były jak śliwy.
Olbrzym ziemię rzeźbił młotem.
Białe konie strzegły niwy.
I w świecie było tak cicho
Szum na trawę, że się kładzie —
Jerzyk widział... Kroczył lichą
I cieszył się, śmiał. Był w sadzie...

Patrzy, a naraz z jabłoni
Czerwony ptak sfrunął mu w dłoń.
Srebro u stóp jego dzwoni,
Zmarszczona i ludzka jest skroń!...

— Dotknę tym piórkiem jedynie —
Rzekł — a gospodarz twój podły
Krzyknie i na zawsze zginie.
Nie pomogą mu i modły...

— Nic z tego, ptaszku kochany —
Szepnął Jerzyk — Widzisz, widzisz,
Inni są też tacy sami.
Każdy zgniecie mnie, wyszydzi.
— Jakto więc ja mogę nawet
Zabić tych wszystkich bogaczy —
Wołał ptak. — Rzucę ich na strawę
Wiatrom — i zgniją, zobaczysz...
— Nie, nie, ich żyją miliony —
Płakał już Jerzyk i dłońmi
Gładził ptaszka grzbiet czerwony
—Co? Gońmy się — szeptał — gońmy...

Poczęli biec koło śliwy.
A tu grom — znów niebo pękło
Obudził się, leżał żywy
I płakał, że serce jękło —

IV

Rano szukała go matka,
Ale chłopca już nie było.
Stanęła, gdzie polna kładka,
Serce jej smutnie zabiło.

On tymczasem był daleko.
Przebył lasy, przebył miasta.
I nocą nad wielką rzeką
Upadł i na chwilę zasnął.
Niosły go pociągi potem
Niosły i wzburzone tratwy.
Twarz miał poranioną błotem,
Runął raz wieczór jak martwy...
Kiedy ludzie go podnieśli,
Oczy miał żarem spalone
I nucił bolesne pieśni,
Że widzi ptaszki czerwone.
One spuszczały mu liście,
Usta chłodziły z gorączki.
Co noc czekał na ich przyjście,
Wznosił w górę chude rączki.

Został, został z tym widzeniem
Nie ujrzał już wcale świata
Przed ciemięzcy swego cieniem
Uchodził, szepcząc — ulatał...

Stanisław Piętak

DYZMA GAŁAJ

ROLNICTWO W SZEŚCIOLATCE

Żyjemy obecnie w okresie, który jest okresem przejściowym od kapitalizmu — poprzez socjalizm — do komunizmu. Punkt dojścia jest zatem ten sam dla wszystkich dziedzin społecznego życia, natomiast start, punkt wyjścia od chwili zwycięstwa politycznego proletariatu jest inny dla klasy robotniczej, a inny dla chłopów. Po innej również drodze — szczególnie w początkowym okresie kroczy przemysł, a po innej rolnictwo. Robotnicy mianowicie rozpoczynają swój marsz do komunizmu na bazie odebranych kapitalistom fakryk i innych przedsiębiorstw. Przejąwszy ich organizację i wprowadziwszy nową treść, wyrażającą się szczególnie poprzez realizowanie socjalistycznej zasady wynagrodzenia („Każdemu według jego pracy") i losy produktu dodatkowego (nie będącego już wartością dodatkową) przedsiębiorstwa te kierowane planowo przez Państwo proletariackie w szybkim tempie i bez skomplikowanych hamulców osiągają postulowane cele. Droga ich rozwoju jest jasna, prosta, bez wahań, tak jak i droga klasy robotniczej do komunizmu. Kieruje ona rozwojem powołane przez lud pracujący państwo, które jest równocześnie właścicielem zakładów przemysłowych i dlatego tę drogę nazywamy **drogą państwową.**

Marsz chłopów osiąga ten sam cel — komunizm, lecz odchodzą oni od kapitalizmu inaczej niż klasa robotnicza. Odchodzą od starego, przeżytego już ustroju z własnym warsztatem produkcyjnym, z ziemią, odchodzą z całym szeregiem kompleksów psychicznych, z urazami, nawykami, zahamowaniami ze ścierającymi się z sobą dwiema postawami: właściciela środków produkcji i człowieka pracy, z nieprecyzyjną świadomością, kto jest ich przyjacielem, a kto wrogiem. Oczywiście to odrywanie się chłopów i wkraczanie na socjalistyczny gościniec jest bardzo utrudnione przez fakt posiadania własnych środków produkcji i złudne nadzieje z okresu kapitalizmu, że przy ich pomocy może każdy osiągnąć pozycję społeczną kułaka. Szczególnie ciężką walkę stacza ze sobą średniak. Chwieje się dotąd, aż przekona go namacalnie gospodarcza i polityczna rzeczywistość. W Związku Radzieckim średniaka przekonał do socjalistycznej, czyli kołchozowej drogi radziecki przemysł z potężną produkcją potrzebnych rolnictwu urządzeń i zwycięska w walce z niedobitkami kapitalizmu władza radzieckiego państwa.

Przez spółdzielczość produkcyjną dochodzą chłopi do socjalizmu i komunizmu. Droga ta, w odróżnieniu od drogi państwowej nazywana jest **drogą spółdzielczą.**

Podobnie jak w ZSRR tak i w naszych warunkach, ta droga wiodąca konsekwentnie od wielkiej reformy rolnej do pierwszych spółdzielni produkcyjnych i do masowej kolektywizacji jest skomplikowana i trudna, jest drogą ciężkiej walki o zrozumienie przez chłopów perspektywy dnia wczorajszego i perspektywy jutra, o zrozumienie faktu, że dokonuje się konieczny rozwój wyzwalający wieś z zacofania i nędzy i że poparcie tego rozwoju pomoże wszystkim, a przede wszystkim chłopom. Własne gospodarstwo, kapitalistyczne nadzieje, brak rozeznania politycznego, wyzysk, kapitalistyczna struktura społeczno-gospodarcza wsi, sprzeczności klasowe, antagonizmy i walka, coraz gruntowniejsza działalność instrukcji społecznych i gospodarczych, frontalny atak Partii i organizacji, praca fabryk, PGR, budownictwo, klęski kapitalistycznych niedobitków, narastające z dnia na dzień zaufanie do ludowego państwa i narodowa duma z osiągnięć.

Rozwój rolnictwa obciążonego przeżytkami w gruncie rzeczy dwóch poprzednich formacji nie może dokonywać się tak szybko, jak rozwój pracującego od początku na bazie socjalistycznej przemysłu. Aby te dwie dziedziny produkcji upodobniły się do siebie, muszą wzrosnąć bodźce rozwojowe, musi dokonać się na wsi aktywizacja biedoty i rewolucja psychiczna średniaka, zamknąć się nawias (wyłączający kułaka) powszechnej kolektywizacji i wreszcie zniknąć antagonizmy klasowe.

Jak czynić, żeby droga chłopów od kapitalizmu do socjalistycznej produkcji w rolnictwie była jak najkrótszą i najlepszą? Co robić, żeby tempo rozwoju rolnictwa zrównało się z tempem przemysłu, żeby jak najszybciej nastąpiła likwidacja różnic w osiągnięciach współczesnego przemysłu i rolnictwa? Pytania te zadaje sobie każdy działacz każdy uczciwie pracujący człowiek. Takie pytania stawia sobie literat, ZMP-owiec, członek ZSCh i tysiące innych. Takie pytania stawiają sobie również ludzie związani z nauką ekonomiki rolnictwa.

Odpowiedzi zasadniczej na te pytania udzieliła nam już praktyka i nauka Związku Radzieckiego. Stalin w swej genialnej twórczości naukowej rozprawił się z wszelkimi pseudo-naukowymi teoriami usiłującymi hamować prawidłowość rozwoju społeczeństwa, budującego podstawy socjalizmu, a bolszewicy i szerokie masy chłopskie w ZSRR pokazały w kołchozowej praktyce, że spółdzielcza droga w warunkach władzy proletariackiej prowadzi również do socjalizmu i komunizmu.

Nauka radziecka i doświadczenie ZSRR wskazują wyraźnie, jakie to bodźce przyspieczyć mogą wyzwalanie się wsi z zacofania i nędzy, do której ją doprowadził rozwój kapitalizmu w rolnictwie. Konfiskata i podział między pracujących chłopów ziemi obszarniczej, przykład i pomoc socjalistycznego przemysłu, zdecydowane ograniczenie i likwidowanie wyzysku kułackiego, wszechstronna pomoc produkcyjna dla drobnych i średnich gospodarstw chłopskich, konsekwentny rozwój niższych form spółdzielczości (zwłaszcza zaopatrzenia i zbytu) i uwalnianie jej od rozkładowych wpływów elementów kapitalistycznych, przykład i pomoc Państwowych Gospodarstw Rolnych, cierpliwe wyjaśnianie istoty socjalistycznego rozwoju rolnictwa i korzyści, jakie ta droga przynosi pracującemu chłopstwu, masowy udział chłopów za pośrednictwem terenowych Rad Narodowych w rządzeniu państwem u boku i pod kierownictwem klasy robotniczej, korzystanie przez chłopów z wszystkich politycznych, gospodarczych, socjalistycznych i kulturalnych zdobyczy ludowego państwa — oto główne bodźce, które przyspieszają, w warunkach władzy ludowej (przy stałej codziennej, pośredniej i bezpośredniej pomocy klasy robotniczej dla pracującego chłopstwa w łamaniu i usuwaniu tych przeszkód, które wróg klasowy spiętrza na drodze wsi do nowego życia, ów marsz pracującego chłopstwa ku socjalizmowi i prowadzą do wyrównania dysproporcji między rozwojem rolnictwa a przemysłu.

Uzbrojeni w wiedzę o przebudowie gospodarstwa i społeczeństwa radzieckiego, korzystając z doświadczeń pierwszego socjalistycznego państwa, czerpiąc z chlubnych osiągnięć nauki marksizmu-leninizmu chcemy w zakresie ekonomiki rolnictwa dokładnie rozpoznać specyfikę praw ekonomicznych, chcemy znajomości o nich dostarczyć Państwu, by mogło je świadomie stosować w swojej polityce gospodarczej, w budownictwie podstaw socjalizmu.

Zdając sobie dobrze sprawę z wielkiej potrzeby prowadzenia szczegółowych badań na odcinku rolnym i chłopskim, podsekcja ekonomiki rolnictwa w miesiącach przedkongresowych opracowała wytyczne do rocznych planów pracy. Dotyczą one następujących działów:

1) ogólnych zagadnień agrarnych,
2) prawodawstwa agrarnego rewolucji socjalistycznej,
3) ekonomiki rolnictwa okresu przejściowego,
4) ekonomiki socjalistycznych przedsiębiorstw rolnych.

Zakres prac badawczych, jak widzimy, jest olbrzymi, tak jak olbrzymie jest bogactwo procesów społeczno-gospodarczych na wsi w okresie przejściowym. Trzeba gruntownie popracować nad poznaniem historii gospodarczej wsi na



tle całej historii gospodarczej Polski, trzeba obnażyć całą zgniliznę w schyłkowym okresie kapitalizmu, paraliżującą rozwój wsi i rolnictwa, wydobyć na jaw wszystkie postępowe i rewolucyjne nurty w dążeniach mas chłopskich, uwypuklić narastanie rewolucyjnego sojuszu robotniczo-chłopskiego w miarę gnicia ustroju kapitalistycznego w Polsce. Trzeba pokazać naszemu społeczeństwu głęboką rewolucyjność dekretu PKWN o reformie rolnej, jego przyczyny i wszechstronne konsekwencje, trzeba zbadać i jasno wykazać wpływ innych aktów prawnych naszego ludowego państwa na rzeczy i ludzi, na bazę i nadbudowę. Trzeba dialektycznie naświetlić zmiany zachodzące w strukturze klasowej mas chłopskich, zmiany stosunku do środków produkcji, schyłkowość renty gruntowej. Trzeba przede wszystkim ujawnić i rozwinąć wszystkie bodźce i dźwignie stwarzające warunki do socjalistycznej przebudowy wsi.

W planie badawczym znajdzie zatem miejsce problem kontraktacji, mechanizacji, kontroli działania żywiołów kapitalistycznych, inwestycji, planowania, współzawodnictwa, prac spółdzielni produkcyjnych, PGR i szereg innych zagadnień. Spraw tych — spraw wielkiej dla zapóźnionego rolnictwa wagi — jest wiele. Wyprzedzająca teorię praktyka działania Partii zwycięsko rozwiązywała i rozwiązuje problemy walki o nowy obraz gospodarki i kultury, ale praktytyce tej musi uprecyzyjnić broń teoria. Dlatego też zakłady ekonomiki rolnictwa przy wyższych uczelniach powiązane z Instytutem Ekonomiki Rolnej, z Polską Akademią Nauk, włączywszy się do realizacji centralnego planu badań, rozpoczną natychmiast podstawowe (nie przyczynkarskie, nie oderwane od praktycznych, aktualnych potrzeb społecznych) prace badawcze.

Chcąc podnieść produkcję rolniczą, chcąc zrównoważyć tempo rozwoju rolnictwa i przemysłu, trzeba zorganizować tę produkcję według założeń, które dają nauki rolnicze Związku Radzieckiego.

W olsztyńskim, gdzie pracuje Wyższa Szkoła Rolnicza, warunki tej produkcji są szczególnie trudne. Mozaika gleb, skomplikowany klimat, konfiguracja terenu, zagmatwane związki między poszczególnymi grupami społecznymi stwarzają w sumie obraz trudniejszy do odcyfrowania, aniżeli w innych dzielnicach Polski. Spośród szeregu bardzo ważnych tak z praktycznego, jak i teoretycznego punktu widzenia tematów uczelniany Instytut Ekonomiki Rolnej oddaje pierwszeństwo **rejonizacji produkcji roślinnej i zwierzęcej.**

Katedra chemii rolnej, gleboznawstwa klimatologii, ogólnej uprawy roli i roślin, szczegółowej uprawy roślin, sadownictwa i warzywnictwa, zielonych użytków, szczegółowej hodowli (bydło, trzoda chlewna, owce, konie, drób i in.), żywienia dadzą obraz warunków i możliwości produkcyjnych w tych warunkach na terenie województwa. Instytut ekonomiki zwiąże te prace w całość, biorąc pod uwagę potrzeby społeczeństwa miejscowego i potrzeby całego kraju.

Dlaczego? Jest to bowiem budowa bazy.

Nie widzę potrzeby szczegółowego omawiania metod, którymi winien być przepracowany wzmiankowany temat. Ważną natomiast sprawą jest zwrócenie uwagi na charakter tematu i konsekwencje badawcze tak dla rolnictwa, jak również dla prowadzących badania, dla Wyższej Szkoły Rolniczej.

Poprzez wykonanie tej pracy, oprócz obiektywnego wzrostu plonów z hektara, oprócz większej opłacalności i wzrostu dobrobytu poszczególnych jednostek i całego społeczeństwa danego rejonu, włącza się teren, PGR, spółdzielnie produkcyjne, indywidualne gospodarstwa rolne w potężniejącą, planową całość gospodarczą Państwa. Rośnie plon z hektara, rośnie jakość nowych gatunków upraw i hodowli, ale równocześnie rośnie odpowiedzialność ludzka za wykonanie przyjętych wobec nauki, wobec państwa i całego społeczeństwa zobowiązań, rosną nowe ambicje, rosną bodźce prowadzące ludzi do uspołecznienia, do wyjścia z tragicznego podwórka chłopskiego i z małego kręgu kultury. Rosną przez to bodźce wyprowadzające chłopów „z prehistorii do historii"

Podstawowym założeniem badań tego typu jest **podniesienie produkcyjności rolnictwa.** Tego żąda społeczeństwo i to określiły zadania Planu 6-letniego. Sekcja Biologii i Nauk Rolniczych na Kongresie Nauki w referacie sekcynym wyraźnie i bardzo słusznie w „węzłowych zagadnieniach badawczych" zwraca uwagę na 1) „Zagadnienia zmiany struktury zasiewów" („Rozszerzenie uprawy wielu roślin dotychczas w Polsce mało uprawianych ze względu na ich niepewność lub też brak opracowań agrotechnicznych; aklimatyzacja nowych roślin; rozszerzenie niektórych uprawianych roślin na nowe tereny, na których dotychczas się nie udawały; zwiększenie bazy paszowej"), 2) zagadnienia podwyższenia plonów ilościowych i jakościowych, zmniejszenia wahań plonów. Ze względu na czynniki siedliska wysunięto problematykę podniesienia żyzności gleb, zwiększenia efektywności nawożenia i zrównoważenia bilansu wodnego. Zwrócono uwagę na konieczność prowadzenia prac, związanych z analizą przydatności uprawianych u nas form i odmian roślin, prac nad uzyskiwaniem nowych odmian oraz prac w dziedzinie dynamiki populacji i zespołów roślinnych.

Są to, jak widzimy, podstawowe zagadnienia nauk rolniczych. W tak postawionej problematyce badawczej wyraża się postawa naukowca podporządkowującego przyrodę człowiekowi, zmuszającego jej siły do służby całemu społeczeństwu. Zatem wysiłki agrobiologów, organizatorów rolnictwa i ekonomistów rolnych — oparte o polityczną władzę proletariackiego państwa — w niedługim już czasie i w Polsce, podobnie jak w ZSRR, w praktyce rolniczej pokażą nonsensowność teorii Malthusa, Liebiga i wielu innych wyznawców ponurego „prawa malejącej wydajności gleby". Ziemia województwa olsztyńskiego urodzi to, co jej nakaże teoria i praktyka rolnicza.

Drugim bardzo ważnym zagadnieniem, które staje i równocześnie rozwiązuje się w trakcie tego typu badań jest *sprawa wiązania szkoły z terenem.*

Izolacjonizm uniwersytetów kapitalistycznych jest określony funkcją tych uniwersytetów, jest wyrazem służby elity intelektualnej elicie oligarchii finansowej. Takie natomiast instytucje ustroju demokracji ludowej, jakimi są Wyższa Szkoła Rolnicza w Olsztynie i inne wyższe uczelnie w dzisiejszej Polsce służą szerokim masom społecznym. Poprzez swoją działalność dydaktyczną i badawczą wzmacnia, pogłębia walkę klas, kładzie szerokie podwaliny pod naukową ocenę wszelkich zjawisk świata. Laboratoria wyższych uczelni nie mają przestrzennych granic. Tworzywo naukowe znajduje się wszędzie tam, gdzie znajdują się ludzie pracy.

Nasze katedry rozpoczną niebawem pracę dotyczącą rejonizacji. Jest sprawą oczywistą, że w czasie jej wykonywania, wszystkie czynniki zainteresowane teoretycznie i praktycznie rolnictwem będą koncentrowały swoje zainteresowania i wysiłek nad tymi samymi zagadnieniami. Ten jednorodny wysiłek różnorodnych instytucji i organizacji zakorzeni tak wielostronne i głębokie związki robocze, podsunie nowe najbardziej słuszne, najwłaściwsze, najpotrzebniejsze i najpraktyczniejsze tematy badawcze, tak wzmocni więź teorii z praktyką, że Szkoła, o której w artykule tym jest mowa, stanie się z pewnością nierozerwalnym elementem, bez reszty wessanym przez całokształt życia i spraw społeczeństwa olsztyńskiego. Będzie tego życia najlepszym wyrazem, będzie motorem i drożdżami nowych procesów społeczno-gospodarczych.

Jest jeszcze jedna sprawa związana z pracami typu „rejonizacja". *Jest to sprawa ludzi, sprawa kadr.*

Chodzi mi tutaj nie tylko o kadry sił naukowych, lecz również o kadry praktyków — agronomów, kierujących PGR-ami, POM-ami, wydziałami rolnictwa itd. Twierdzę, że profesor szkół rolniczych nie stykający się praktycznie z aktualnymi problemami rolnictwa i wsi, nie może być pełnowartościowym wykładowcą i wychowawcą i twierdzę, że Szkoła nie powiązana poprzez badawczą tematykę z terenowym zapleczem nie może być nazwana instytucją socjalistycznej kultury. Oczywiście taki temat jak rejonizacja upraw i hodowli jest zdolny wyrwać każdego człowieka ze skorupy złej tradycji i inteligencko-gettowych nawyków. Taki temat pogłębi w naszej uczelni przekonanie o ważności powiązań teorii z praktyką, wytworzy atmosferę wszechstronnej przydatności Szkoły i ustawi nas w jądrze najistotniejszych zagadnień przebudowy.

Wydaje mi się zatem, że ambicje badawcze Instytutu Ekonomiki Rolnej przy Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie idą w dobrym kierunku. Kierunek ten jest zresztą wyraźnie określony tak ogólnymi tendencjami rozwojowymi naszego kraju, jak również wytycznymi Planu 6-letniego i I Kongresu Nauki Polskiej. Takich prac potrzebuje od nas społeczeństwo i tylko takie prace będziemy w naszym Instytucie wykonywali. Pomożemy poprzez nie w rozpoznaniu specyfiki wsi olsztyńskiej, pomożemy w pracy nad wzrostem produkcji i w dostarczeniu kadr. Zmniejszymy dysproporcję w rozwoju rolnictwa i przemysłu. Przyśpieszymy okres dojrzewania chłopów do spółdzielczości produkcyjnej.

Dyzma Gałaj

BRONISŁAW GÓRALIK-BOŻANOWSKI

BIELICE

Ziemia Niemodlińska ze swoimi słynnymi borami jest najpotężniejszym rezerwuarem leśnym na opolszczyźnie. Drugie cenne bogactwo tych terenów, to gleba, przeważnie lessowa, żyzna i lekka w uprawie. Udają się tu wszystkie szlachetniejsze rośliny uprawne z burakiem cukrowym łącznie.

Cechą tych terenów, która każdemu rzuca się w oczy, jest zupełny brak śladów minionej wojny. A przecież Niemodlińskie zostało boleśnie dotknięte działaniami wojennymi. Ogólnym, zbiorowym wysiłkiem zdołano jednak już całkowicie usunąć zniszczenia. Wyrosły nowe budowle, większe, rozleglejsze od zniszczonych: zabudowania POM-ów, magazny spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej", budynki szkolne, przedszkola, nowe warsztaty pracy, nowe obiekty przemysłu ceramicznego i drzewnego. Rolnictwo nasze coraz bardziej wiąże bowiem swoją produkcję z zakładami przemysłowymi. Bogactwo doskonałej gliny ceramicznej i lasów sprzyja rozwojowi zakładów przemysłowych, opierających się na tych surowcach. W Korfantowie już od 3 lat czynna jest zniszczona przez hitlerowców wielka fabryka obuwia, jedyny zakład tego rodzaju na Ziemiach Odzyskanych oraz wielka nowocześnie urządzona roszarnia. W Tułowicach odremontowano i rozszerzono wielki zakład ceramiczny, gdzie zatrudnionych jest około 300 pracowników. W Łambinowicach zaś uruchomiono potężne zakłady reperacyjne maszyn i narzędzi rolniczych, które z uwagi na rolniczy jeszcze charakter tego terenu (liczne PGR-y i mnożące się spółdzielnie produkcyjne) — mają olbrzymie znaczenie. Oprócz tego mnóstwo cegielń, fabryk dachówek, tartaków i innych zakładów produkcyjnych jest rozrzuconych po całym obszarze Ziemi Niemodlińskiej.

Wieś tutejsza wzorująo się na klasie robotniczej, na wspaniałym rozmachu technicznym w przemyśle, na osiągnięciach produkcyjnych fabryk, hut i kopalń — realizuje coraz śmielej i odważniej metody nowoczesnego sposobu gospodarowania. Niektóre gromady swoimi osiągnięciami promieniują na okoliczne wsie. Do takich właśnie gromad należą B i e l i c e, leżące na drodze Niemodlin — Nysa. Już z dala widzi się olbrzymie przestrzenie pól ornych, pozbawionych miedz, symbolu karłowatych gospodarstw indywidualnych. Gdzieniegdzie jeszcze tylko wąskie poletko wstydliwie chowa się na skraju jednostajnej wielkiej płaszczyzny, pokrytej łanami dojrzewających w słońcu zbóż, roślin pastewnych i okopowych oraz oleistych. Tuż przy samej wsi zauważyć można wąskie pasma zagonów. To działki przyzagrodowe spółdzielców. Na wielkim polu buraczanym, obejmującym 30 ha widać ludzi zajętych pilnie pieleniem buraków. W dali szumi traktor „Ursus" oraz chodzi szereg żniwiarek. To akcja sprzętu rzepaku. Sama wieś dosyć obszerna, z dwoma szeregami domów mieszkalnych, krytych dachówką, biegnących równolegle do wijącej się szosy. Niedaleko zabytkowego kościółka rozłożył się zamek wraz z zabudowaniami gospodarskimi. Panoszył się tu przez wiele lat niejaki Stahrenberg, junkier pruski, który zagarnął chłopom prawie wszystką ziemię, pozostawiając im zaledwie po parę morgów. Wieś była zdana na łaskę dworu, który sprawował nad nią wszelką władzę i wykorzystywał jej siłę roboczą. Autochtoni, dobrze pamiętają te czasy panowania niesprawiedliwości i krzywdy.

Przyszła wojna, a z nią wyzwolenie od kapitalistyczno-obszarniczego wyzysku. Rzesze repartiantów i osadników zaczęły przybywać na Z.O. Wielu z nich osiedliło się w Bielicach. Zaczęła się twórcza, pionierska praca. Wyremontowano dom świetlicowy, odnowiono gmach szkolny, doprowadzono do należytego wyglądu dziesiątki budynków mieszkalnych i gospodarskich, zlikwidowano prawie 150 ha odłogów jako spuścizny po rządach obszarniczych. Dzięki parcelacji przeprowadzonej przez władze Polski Ludowej bieliczanie otrzymali nadział ziemi i rozpoczęli nareszcie gospodarowanie „na swoim". Te przemiany zamykały się w ramach pierwszego etapu przeobrażeń, które wstrząsnęły przyfolwarczną wsią Bielice.

Dalszy rozwój gospodarki i kultury hamowały tradycyjne formy gospodarowania. Dlatego na wiosnę roku 1950 założono spółdzielnię produkcyjną „Przyszłość", do której po pewnym okresie wahań wstąpiła przeważająca część gospodarzy. Rozpoczął się drugi etap życia wsi. Pierwszy rok twórczej kolektywnej pracy 30 chłopów wydał zdumiewające owoce. Popłoch istny zapanował w kurczącym się z dnia na dzień obozie niedowiarków, w rodzaju takich jak: **Padamczyk, Halaburda, Oliwa, Kopij czy Malinowski,** którzy drwili ze spółdzielców, przepowiadając im smutny finał. Spółdzielcy mieli za sobą niezbite argumenty i realne osiągnięcia. Piękne zbiory zbóż, buraka cukrowego, piękna obora z 20 rasowymi krowami, chlewnia, gdzie pomieścili 35 świń wysokiej rasy, 18 koni, elektryfikacja i radiofonizacja domów spółdzielczych, założenie obszernej biblioteki, wyremontowanie zabudowań gospodarskich — oto skromny rezultat pierwszego roku skoordynowanej, wspólnej pracy w ramach nowej, doskonalszej formy gospodarowania.

Przy spółdzielczej uprawie potrzeby społeczeństwa są uwzględniane w większym stopniu, aniżeli na gospodarstwach samodzielnych. Na wiosnę r.b. obsiano 35 ha pszenicą, 28 jęczmieniem, 25 owsem, 19 rzepakiem, 20 poszło pod buraki cukrowe i 10 pod pastewne! Żyto zajęło obszar 31 ha, a ziemniaki 29 ha.

Szczególną dumą napawa spółdzielców wzorowo prowadzona obora z 20 rasowymi krowami, zakupionymi z funduszów zaoszczędzonych przez członków. Oborę prowadzi grupowy ob. Piotrykiewicz, niegdyś małorolny chłop, doświadczony hodowca, opierający swoje spostrzeżenia na fachowych pouczeniach wydawnictw rolniczych. Krowom dogadza się tu mieszankami, makuchami itd., gdyż ambicją spółdzielców jest osiągnąć jak najwyższy stopień mleczności. Skutki tych zabiegów są już widoczne tak w dziennym udoju, który przekroczył ju. 200 l., jak również w zewnętrznym wyglądzie bydła. Bielicka spółdzielnia ma jeszcze jeden powód do dumy — wzorową chlewnię 35 świń, wśród których są już sztuki liczące po 130 i 150 kg wagi. Świniarce Padamczykowej słusznie należy się zaszczytny tytuł przodownicy pracy za jej wysiłek i poświęcenie. Sukcesy swe obok pracy członków, zawdzięcza spółdzielnia konkretnej pomocy Władzy Ludowej. Pomoc ta wyrażała się w długoterminowej pożyczce, udzielonej na dogodnych warunkach, nawozach sztucznych pomocy ośrodków maszynowych itd.

W planach na przyszłość figurują takie zadania, jak: założenie własnego przedszkola, stałego kina w gromadzie. zaprowadzenie racjonalnej hodowli owiec i sadownictwa, zaktywizowanie życia kulturalnego i sportowego. Nadto mnóstwo innych projektów zainicjowanych samorzutnie przez spółdzielców na wspólnych konsultacjach i debatach. W czasie trwania kampanii wiosennej b.r., spółdzielcy chcąc uczcić święto 1 Maja, jednomyślnie zobowiązali się przedterminowo wykonać siewy. Oto co ob. Kubów przewodniczący spółdzielni opowiada o realizacji zobowiązań:

— Obsialiśmy obszar 95 ha. Do dyspozycji mieliśmy tylko własne środki i przy ich użyciu postanowiliśmy przeprowadzić wszelkie roboty w polu. 15 koni i 4 brygady polowe po 5 osób każda — to wszystko. Na każdym ciążył obowiązek zaorania i zabronowania prawie 4 ha ziemi Czy było to możliwe rok temu? — mówi **ob. Kubów.** — Nie. A to dlatego, że dziś mamy innych ludzi, którzy inaczej podchodzą do tych spraw. — Tak mówił ob. Kubów. Czy tylko on myśli takimi kategoriami? Nie. **Ob. Oliwa,** który niedawno zdeklarował się na przystąpienie do spółdzielni podobnie konkluduje.

— Siebie winuję, że do spółdzielni wcześniej nie wstąpiłem. — Przyznam się, że byłem omotany plotką i zatruty bredniami o pracy zespołowej. A plotkarzom chodziło o rządy i wpływy na wsi. Wiedzieli oni, że socjalizm rodzący się w gromadzie pod postacią spółdzielni, stanie się dla nich grobem. Przestaną spekulować, oszukiwać i zwodzić. Straszyli więc spółdzielczą pracą, Planem 6-letnim i POM-ami. Wielu jest takich, jak ja, którzy przejrzeli i poznali prawdę.

B. Góralik-Bożanowski

KAZIMIERZ DĘBNICKI

NAKWASKI PO WOJNIE*)

W rodzinnym mieście Nakwaski zabawił niedługo. Zaopatrzony przez sprytniejszych znajomków w papiery i świadectwa patriotycznej postawy ruszył na Zachód. Na Ziemie Odzyskane. Był starostą w Poznańskiem, inspektorem na Śląsku, aż wylądował wreszcie pod Szczecinem w Centrali Rolniczej „Samopomocy Chłopskiej". Był to już rok 1946.

Na Mikołajczyka — Nakwaski nabrać się nie dał, z podziemiem kontaktów nie miał, uchodził za lojalnego bezpartyjnego. Jego blade oczka patrzyły przecież tak serdecznie i naiwnie, czerwony nochal tak bezbronnie zwisał na boku twarzy, ręce tak bezradnie manipulowały palcami — słowem uosobienie skromności, zacności i oddania pracy dla społeczeństwa.

Tak przetrwał do roku 1948, unikając angażowania się w aktywną pracę polityczną, choć ciągnięto go i do PPS i do SL. Dopiero wiosną 1948 r. wstąpił do PPS, jak przed ogniem, broniąc się przed wszelkimi funkcjami.

„Chcę być szarym, uczciwym człowiekiem partii. Nie mam, drodzy moi, ambicji, nie chcę zaszczytów, wystarczy mi czyste sumienie — że dobrze pracuję. Bezinteresownie..." — tak mawiał do znajomych.

Ankiety personalne, mocno zresztą wtedy niedoskonałe, przeszedł gładko, na szkoleniu zawsze się jakoś wykręcił, w pracy opinię sobie zdobył dobrą. Przedzjednoczeniową rejestrację PPS-u odbył prawidłowo, bez wstrząsów, krótko zaś przed Warszawskim Kongresem wystąpił zdecydowanie przeciw kilku członkom partii, co zjednało mu w oczach niektórych markę bojowego lewicowca.

„Zdemaskowałem ich" — mówił skromnie, — „to mój obowiązek".

Toteż do Zjednoczonej Partii Nakwaski wpłynął rozwiniętymi żaglami, jak fregata na pogodne morze.

W 1949 r. zaproponowano mu stanowisko w rodzinnym mieście. Wahał się nieco Pojechał zbadać grunt. Rekonesans wypadł pomyślnie.

Ze znajomych nikogo nie było, a jeśli by się nawet jaki trafił, to sam miał duszę w piętach, żeby mu księgi żywota na kartach 1939—1945 r. nie otworzyć.

Zjechał więc w 1949 roku Nakwaski do rodzinnego miasta. Za sprzedany samochód, który doczekał się przecież wyzwolenia z piwnicy — zorganizował sobie meble. Z zachodu, jak mówił, nic nie zabrał.

„Jakem pojechał — tak wracam. Niech choć jeden będzie uczciwy. Nie szabrownik — pionier" — wyjaśniał ciekawym.

✻

We wrześniu 1950 r. w starej chałupie Breszki na Kruku odbywała się jakby to rzec, pryncypialna rozmowa. Gadał Świtek, kierownik Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej, sekretarz partyjny Łańczyk, Marian Kruk i drugi Świtek. Tematem rozmowy była kontraktacja i skup żywca.

Pierwsza sprawa — szczepionki Podnosi ją Marian Kruk.

„Ludzie boją się kontraktować. Pomór był. Szczepionek nie było. Siedzi gdzieś w urzędzie jakaś zdrowa świnia! Z jakim ryjem jeszcze i ryje... Cholery na nią nie ma! Pomoru nie ma! I przez to nasza wieś z najlepszej kontraktacji — w najgorszą spadnie".

„Szczepionki szczepionkami, a żarcie to nic?" — cedzi Breszko. Mam teraz świnię. Ładny okaz. Mięsna sztuka. Cennikowa, nie? Ale czym ją karmić? Mlekiem? Ja sam lubię mleko — to świni dam? Kartofli mam może za dużo? No, mogę jej dać trocin. Ale widzieliście świnię, żeby trociny żarła?"

Tu stary Świtek zaczął się niespokojnie kręcić na krześle i rzekł:

„Jak wiecie, świniopas jestem urzędowy. Jak tylko mnie widzą na wsi — mówią: idzie nasz świniopas. Bo od dwóch lat chodzę za tymi świńskimi sprawami. Kontraktację kto tu robi? Świniopas - Świtek. Kto obiecuje, że ospa będzie, że otręby będą, szczepionki będą? — Świniopas-Świtek, wiadomo. Nie obrażałem się za ten tytuł. Świniopas — niech będzie świniopas. Dopiero teraz mi głupio. Taki tytuł zobowiązuje, nie? A tu ospy nie było, otrąb nie było. O szczepionkach już nie mówię. A czy ja ludziom obiecywałem od siebie? Nie. Jak mnie obiecano i zapewniono — tak ja ludziom. I jak wychodzi? Wychodzi, że Świtek to nie urzędowy świniopas, a urzędowy kłamca. Bo jak. Świtek kłamie, to nie od siebie on kłamie, świniopas taki, ale od partii, od rządu. Każdy przecież wie, że Świtek aktywista, partyjny — no — urzędowy człowiek. I cholera ściska, bo wiem, że w magazynach, w Kielcach, w innych jeszcze, pasze leżą. Kto wie — może gniją. A ty idź człowieku jutro do ludzi i mów, że mają kontraktować, że dostaną to, tamto i owo.

Breszko dwa palce w górę podniósł:

„Numer dwa — pasza. Ustalono. A Świtek winien i my wszyscy, bo właśnie za cicho siedzimy i partia może nawet nie wie o tym całym świńskim interesie. Nasza wina. My źli partyjnicy. I to trzeba też ludziom powiedzieć".

„Numer trzy teraz, prawda? — pyta Łańczyk.

„Numer trzy" — stwierdza Breszko — „Kto referuje"?

„Ja — mówi Łańczyk. — Ja się pytam, czy świnia to jest turystyczne zwierzę? Nie — człowiek to zwierzę turystyczne, znaczy się lubi ruch. Ale świnia to zwierzę leżące. A już specjalnie świnia kontraktacyjna. Dla niej ruch nie wskazany Spokój, żarcie, poleżeć sobie lubi. A tu świniom każą się



ruszać. Do Kielc. Spacerek taki świnia, powiadają, zrobi, to jej na zdrowie wyjdzie. Człowiekowi by się słabo zrobiło, jakby tak w upał do Kielc go gnali, a co dopiero kontraktowej świni, znaczy się urzędowo spokojnej, nieruchawej, tucznej. Przedtem skup był u nas, w gminie. Też trzeba było do Suchedniowa przygnać, albo przywieźć No, ale zawsze to bliżej, a do Kielc 27 km, a z takiego Rejowa to będzie grubo ponad 30. A każą do Kielc. I świnie i w ogóle wszystko, co na czterech nogach łazi — do Kielc. W Rejowie byk piękny — kontraktowy. Gminna Spółdzielnia przyjąć go nie chce. Do Kielc — mówią z bykiem. A byk do Kielc nie chce. Raz to go dognali aż do Gozdu. W Gozdzie się urwał. Dziecko pobódł, kobietę wystraszył, że poroniła, płot połamał, w chałupie sołtysa pacyfikację chciał zrobić. Zmęczył się i na drugi dzień rano sam sobie do Rejowa wrócił. A to przecież był byk. Cóż dopiero mówić o świni? Bywały takie co w upał nawet na wozie wiezione zdychały. A ilu ludzi ma wóz? I konie. Na 10 kontraktujących może się jeden znajdzie.

Tu Świtek wtrącił:

„A jak ci nawet świnia nie zdechnie, to wagę traci.." A policz sobie ile waży ludzki czas. My przecież niby chłopi, ale wielu na fabryce pracuje i żona też często, albo w spółdzielni, albo w „Marywilu", albo jeszcze gdzie. I co? Czas tracić, dzień zmarnować, od roboty, od maszyny odejść, żeby świnię panom biurokratom pod nos, do Kielc dostawić, w stanie śniętym często.

Breszko trzy palce do góry podniósł i uroczyście oznajmił:

„Numer trzy — miejsce skupu. Nie tylko świń — bydła w ogóle. Koniec dyskusji. Jutro jedziemy do miasta. Ustalono".

✻

Ustalono. Wykonano. No, skutek nie był zachwycający. Siedzieli w dyrektorskim sekretariacie tak długo, aż się znudzili sekretarce. Zaproponowała więc uprzejmie, cedząc ustami umalowanymi w karcianego kiera, że może tak innym razem. Ale ani Breszko ani Łańczyk nie poznali się na uprzejmości. Breszko twarz okrutnie zmarszczył. Łańczyk ścisnął wielkie pięści.

„My byśmy może i mogli — innym razem. Ale świnie, panienka rozumie, nie mogą, a my właśnie w sprawie świń. W niecierpiącej zwłoki sprawie. A jak panienka ma ochotę wieprzowinki pojeść, to proszę, do pana kierownika. Tylko szybko!" —

„Tylko bez gburowatości" — syknęła panienka. „Mówię przecież wyraźnie, że kierownik zajęty".

„A my — wyraźnie, że sprawa ważna. Wysokiego asortymentu" ..— zaczął Breszko, ale mu Łańczyk przerwał.

„Nie ma czasu kierownik? No to znajdzie czas w kryminale. Jak kontraktacja nawali. Niech no panienka kuperek z krzesła ruszy i duchem do kierownika. My tu nie po prośbie, my po partyjnej linii, ja jestem sekretarzem, a ten to Breszko, członek Gminnego Komitetu. A nie zechce kierownik przyjąć — to my do Wojewódzkiego Komitetu pójdziemy. Niedaleko stąd przecież. No żywo — panieneczko, żywo!"

Umalowaną jakby kto prądem dźgnął. Skoczyła i buch w dygnitarskie drzwi, za którymi coś zaszemrało, zaszeptało, zapiszczało i zaraz w nich stanął sam Nakwaski, przecierając niemrawie szkła od binokli, a jednocześnie niespodziewanie grubym głosem wykrzykując:

„Ależ proszę bardzo, bardzo proszę, towarzysze...

Zaczęli skromnie. Od sprawy macior. Nakwaski na wszystko się zgadzał. Oczkami potakując mrugał, palcami lewej ręki przebierał, mięsisty długi czerwony nos z boku na bok twarzy przekładał. Zdawał się być olśniony, zdawał się być całym sobą po stronie skrzywdzonych macior. Toteż Łańczyk i Breszko mówili z coraz to rosnącym zapałem, a Nakwaski coraz gorliwiej przytakiwał. Wreszcie odezwał się:

„Macie towarzysze najzupełniejszą rację. Dawno to sam mówiłem. Maciory i prosięta przede wszystkim. Ale cóż? Niezrozumienie u nas w centralnych władzach dla tych spraw panuje, kompletna ignoracja. Nie mówię, broń panie Boże, że zła wola. Skądże?" Po prostu brak elementarnej wiedzy i praktyki. U nas się pewne rzeczy robi na efekt, żeby dużo i żeby tłusto. A maciory, eech! — machnął ręką.

„To znaczy, towarzyszu kierowniku, że z tymi maciorami nie przejdzie?" — zapytał Łańczyk.

„No tak od razu — nie przejdzie. Postaramy się. Nie takie trudności się przełamywało. Ale ręczyć nie mogę".

Wtedy zaczęli mówić. O szczepionkach. Nakwaski znowu cały zamienił się w słuch. Stał się jednym ogromnym uchem. Po czym stwierdził:

„Okropna rzecz. Biedne zwierzątka. Do ziemi. Coś okropnego. Niedbalstwo. Niesłychane *niedbalstwo*. Poruszę tę sprawę gdzie trzeba. Nawet do Bezpieczeństwa się zwrócę. Przecież to *wprost* sabotaż. Ale muszę Wam towarzysze, powiedzieć, tak między nami, że to z winy Warszawy. Tam po prostu biurokracja się *panoszy*. Ileż to razy sam zwracałem uwagę. Mówiłem, ludzie: pomór, świnie padają, szczepionek brak. A każdy ramionami wzruszał. Cóż świnie, towarzysze, dla *biurokraty*. Ale zanotujemy, zainterweniujemy Zobaczymy Cóż dalej?"

Dalej było podobnie. Oni mówili. Nakwaski potakiwał, szkła pocierał, nosem ruszał, a potem zapewniał, oburzał się, przyrzekał, notował i wszystko uzależniał od złamania jakichś tam biurokratycznych oporów nie tu, broń Boże, na miejscu, ale w centrali, w Warszawie. Odprowadził ich wreszcie aż do drzwi, wylewnie pożegnał i dopiero przyduszony przez Łańczyka, żeby prędko zawiadomił, zapytał jeszcze na pożegnanie, tak od niechcenia:

„A wy, towarzysze, właściwie skąd?"

„Z Kruka".

„A gdzie to?"

„Suchedniów" — burknął Breszko.

„A, a, a — Suchedniów" — zaśpiewał Nakwaski i potem już tylko powiedział:

„No to do widzenia".

„Podobał wam się ten Nakwaski, Breszko?" — spytał na ulicy Łańczyk.

„Jak krowie giez" — rozłościł się tamten.

„Gadać umie, co?"

„Umie. Trzymać w przedpokoju jeszcze lepiej. I taki o biurokratach z Warszawy ględzi!"

„A widzieliście Breszko jak to sobie przypomniał, na sam koniec, żeby zapytać — skąd my właściwie jesteśmy".

„Pewnie. A notował sobie, że będzie się starał, że da znać. Gdybyście go nie przycisnęli, w ogóle by nie wiedział, kto, skąd, od kogo".

„Wiecie, Breszko ja go skądś znam. Gdzieś go widziałem" — zamyślił się Łańczyk.

„Coś mu się Suchedniów nie spodobał", — dorzucił Breszko. Wstąpili jeszcze do Powiatowego Komitetu.

✻

Tymczasem tego jeszcze wieczoru do mieszkania Nakwaskiego przyszedł mężczyzna elegancko ubrany, pachnący dobrą lawendą. Chodząca 100 proc. wełna i czysty jedwab, nie mówiąc już o najprawdziwszych zamszach na nogach. Nakwaski gościa przyjął niechętnie, mrukliwie.

„Głowę mnie to będzie kosztować" — burczał kręcąc się wokół fotela, na którym zasiadł gentelman.

„Na razie to pan głowę ratujesz. Dzięki nam".

„Wcale nie jestem pewien. Ostatecznie tamto śmiercią nie groziło".

„Śmiercią? To zależy. Ile się wie. A ja np. wiem dużo. I... Schuppke żyje, drogi Nakwaski".

Nakwaski zgarbił się. Ramiona wciągnął. Głowę opuścił. Machinalnie przetarł szkła.

„Więc co mam właściwie robić?" — zapytał zgaszonym głosem.

„To, co dotychczas. Bałagan, chaos, budzić niezadowolenie. A wszystko ludowo, demokratycznie, z taką antybiurokratyczną inicjatywą Być biurokratą i udawać, że się z biurokracją walczy — to dopiero sztuka, kochany Nakwaski".

„Nie wystarczy być biurokratą..." zmartwił się Nakwaski.

„Pewnie — szpakowaty wstał, klepnął naszego bohatera po ramieniu. „Pewnie" — powtórzył. Trzeba jeszcze być wrogiem. Jak to oni mówią — klasowym. Pan ma w tym kierunku dobre kwalifikacje i rutynę, Staż."

„Jeszcze mi też będzie potrzebny raport, Nakwaski. Ma pan chyba kopie czerwcowych spisów?"

Tej nocy Nakwaski nie spał. Myślał o tych dwóch z Suchedniowa i o tym trzecim gentelmanie. Żałował już, że wrócił do rodzinnego miasta.

✻

Była już późna jesień, kiedy Łańczyk i Breszko wybrali się znowu do miasta samochodem spółdzielni. Nie sami. Wieźli jeszcze starego Adama, któremu jakaś choroba w



dołek wlazła i trzeba było go, na zlecenie lekarza, zawieźć do specjalisty. Ciężarówka zahamowała na Rynku. Mieli już dość Nakwaskiego i jego obietnic. Sprawa od lata nie posunęła się ani na krok naprzód. Ludzie sarkali. Kontraktacja wypadła źle a to, co zakontraktowane, wobec braku paszy i szczepionek — chowało się nędznie. Tymczasem w magazynach pasze leżały. Szczepionki były. Na zebraniu aktywu gminnego zalecono Łańczykowi i Breszce natychmiastową interwencję w KW.

Minęli już parę domów, gdy dobiegło ich wołanie. Basowe, jowialne. Był to Nakwaski. Stał koło swojego biura, niecierpliwie strząsając z klap płaszcza krople dżdżu.

„Na chwileczkę towarzyszu Breszko!" — wołał.

Podeszli niechętnie. We dwóch z Łańczykiem. Głupi Adam pozostał w tyle.

„Właśnie chciałem Wam powiedzieć, że w sprawie tych, wiecie, skupów"... zaczął Nakwaski.

Nie skończył, wlepił oczy w głupiego Adama, który gapił się na niego jakimś niespodziewanie złym wzrokiem. Po wąsach i dawno nie golonej brodzie Adama ściekała ślina, przygięte kolana drżały, coś bełkotał — pełen napięcia. Wreszcie wykrzyknął:

„Krówka eee, moja krówka... Daj eee, krówkę, daj eee!"

Breszko odwrócił się szybko. Myśl nagła, przypomnienie jakiegoś upalnego dnia, białej od kurzu szosy, zielonych mundurów, rynku bydła — to wszystko zawirowało mu w głowie. Ostro zapytał głupiego Adama:

„On ci zabrał „Łaciatą" — on?"

Adam kiwał głową. Coś usiłował powiedzieć. Wreszcie zdobywając się na wysiłek przekraczający jego siły wrzasnął:

„Wójt, eee, wójt, wziął, krówkaaa, eee!"

Breszko i Łańczyk patrzyli to na Adama, to na Nakwaskiego. Nakwaski zdenerwował się.

„Czego się na mnie gapicie, czy ja mu krowę zabrałem, czy jak? Wójtem jestem? Co to za jakiś stary wariat?"

„Chodźmy już Breszko". — Łańczyk pociągnął towarzysza za rękaw. —

„Do widzenia panie Nakwaski" — rzucił chłodno.

Kiedy już Adama zostawili pod opieką lekarza w szpitalu, poszli do KW. Do sekretarza. Przyjął ich bez czekania. Słuchał uważnie.

„Nakwaski, hm, Nakwaski. Tak" — pokręcił głową, gdy dojeżdżali już do końca.

Opowiedzieli jeszcze dzisiejsze spotkanie z Nakwaskim i dziwne zachowanie głupiego Adama.

„To jemu krowę zabrali w czasie spędu Niemcy?" — spytał sekretarz.

Łańczyk dorzucił: „Dałbym sobie uciąć głowę, że tego Nakwaskiego tam widziałem. Przechodziłem koło spędu.

„Głowy nie dawajcie sobie uciąć. Szkoda głowy Posądzenia muszą być oparte na faktach".

Zapadła chwila milczenia. Sekretarz Komitetu wstał. Zapatrzył się w mglistą ścianę dżdżu.

„Ta cała sprawa bardzo mi się nie podoba, towarzysze, bardzo. Szkoda, że dowiaduję się od Was tak późno. W powiatowym, w rolnym wam odradzali. Wiem. Jesteśmy — nie wszystko się w powiatowym dobrze dzieje. A towarzysze z terenu do nas nie dochodzą. Nie znają swoich praw. A co dopiero bezpartyjni. Ale — toteż nasza wina. Trzeba iść samemu w teren, trzeba pogrzebać w powiatowym, nie czekać, aż raport przyjdzie. Wygładzony, dopasowany.

Pogadali dłuższą chwilę. Sekretarz wyszedł z nimi na schody. Minę miał zatroskaną. Serdecznie pożegnał Breszkę i Łańczyka.

„Pamiętajcie, zawołał — jak już zeszli na półpiętro — z każdą sprawą do mnie. Chociażby telefonem, z Suchedniowa..."

Wyszli radośni.

„Zdaje się — powiedział Łańczyk — żeśmy trochę pokpili sprawę. Trzeba było od razu do wojewódzkiego".

„Za mało dostaliśmy od sekretarza — mruczał Breszko. — Delikatny on widać człowiek. Dobrze wychowany. Robotnik. Żal mu było dać nam fest w skórę. Oni już tacy ci miejscy, robotnicy Wychowanie, Łańczyk, wysokiego *asortymentu*".

Ale Łańczyk nie słuchał.

„Wstyd, mówię Wam Breszko, teraz dopiero wstyd! Jakżem mógł do KW wcześniej nie pójść? Tylkom po kątach, w domu, cicho wyrzekał. To zupełnie jakbym, ja partyjny sekretarz, zaufanie do Partii stracił Wstyd, choroba!"

Do Suchedniowa wrócili z Adamem przed samym wieczorem, zaopatrzeni w dobrą paczuszkę recept i wskazań specjalisty. Przechodzili już koło poczty, gdy zawołał ich kierownik urzędu.

„Łańczyk, Breszko! Od dwóch godzin Was z KW szukają.

Weszli do urzędu. Połączenie uzyskali szybko. Po drugiej stronie rozległ się głos. Łańczyk słuchał chciwie, w pewnym momencie przykrył dłonią tubkę i szepnął do Breszki:

„Nakwaski siedzi!"

Breszko wyrwał mu słuchawkę i wtrącając się w pół zdania sekretarza wołał:

„Tu Breszko, sekretarzu, okropnie mnie teraz ta pluskwa będzie żarła...."

„Jaka pluskwa znowu?" — zdetonował się sekretarz.

„Sumienie" — wyjaśnił Breszko— „Bo gdybyśmy się nie poszkapili to ta łachudra już dawno-by..."

„Towarzyszu Breszko — mówił głos — Nakwaski ma jeszcze inne grzechy na sumieniu. Zostałby i tak aresztowany..."

Kazimierz Dębnicki

*) Patrz: „Sprawa Nakwaskiego" „Wieś" Nr. 29.

KRONIKA RODZINY

(Dokończenie ze str. 1)

miała dla tych, co jej nie posiadali. Kto ma własność produkcyjną, temu takie położenie dodaje niewolników produkcji. Nie trzeba wiele myśleć, aby to zrozumieć.

✻

Tak to mój gospodarz dwa razy w życiu czapkował. Raz na kolei przez lat dziesięć, drugi raz u stryjostwa przez lat dwanaście.

W 1945 r. zmarła stryjna. Zostali wreszcie niezależnymi gospodarzami i niepodzielnymi właścicielami 7.5 ha ziemi (5 po stryju, 2,5 po matce żony). Kochają dzieci. Jedno umarło w czasach służby u stryjów, dwóch synów zdrowych naschwał ma przed sobą jasną przyszłość. 16-letni uczy się w miejscowym liceum, ośmioletni jeszcze w powszechnej, ale już zamiarują pokierować go wyżej, bo zdolny „chodocek". Tej polityki pilnuje żona. — Oj kumo — mówi do przyjaciółki — a coście Wy zrobili z najstarszą? Rozbrajająca jest szczerość sąsiadki. Od razu szczegółowo zaczyna spowiadać się z grzechu zacofanej matki. Najstarsza była, w szkole celująca i miała „powołanie" do malowania. Ale jak to dziewczynę puścić z 9 hektarów? Potrzebna była w gospodarstwie i choć gimnazjum o sto metrów, matka — tercjarka nie miała zaufania do edukcji. Dziś co innego, jest już pewna, że ile by chłopaków i dziewczyn nie poszło do szkół wyższych, dla wszystkich znajdzie się zajęcie. Tak teraz jest. Jeszcze by się i teraz poprawiła wobec najstarszej, ale ma już chłopa i dziecko, gdzie takiej szkoła, choć na to „malowanie" wciąż choruje i od ludzi matka nie ma spokoju. Wymawiają jej i wymawiają. Młodszej już nie zmarnuje, bo też najlepsza uczennica w klasie. — Kto by to zgadł, jo ta nigdy w głowie nic mądrego nie miałam, mąż też był na umyśle paralityk, a córka jedna w drugą jakby nie nasze, takie zdolne.

— A Wam gospodarzu niczego nie wymawiają ludzie? — spytałem niespodziewanie.

— Że niby do spółdzielni nie idę? To jeszcze nie grzech. Nie chcę być pierwszy. Jak ruszy wieś nie będę ostatni. A poreszcie rzekłem już, że trzeci raz nie zamiaruję czapkować. Człowiek się wreszcie wyrwał na swobodę. Dziesięć lat łasiłem się jak pies przy kolei. Życia i świata nie znałem. Trzymałem się toru, jak pijany poręczy. Od odcinka do odcinka, byle nie przepaść. i po dziesięciu latach, kiedy mógł być ze mnie fachowiec na amen zabrakło miejsca i pracy. Widziałem to po lepszych ode mnie. A u stryja w niewoli cóżem zaznał? Sobacze było życie. Któż ciężej ode mnie wypracował tę ziemię? Tyle się najadłem „zależności", że każda mnie teraz straszy. Jak człowiek nie miał stracić zaufania do ludzi? Dla obcych byłem pies, dla rodziny jeszcze gorszy kundel. Ja Wam powiem. Żona chce obu synów w świat na naukę wyprawić. Nie zaprzeczam, a wiecie dlaczego? Bo mi się czasami zwiduje, że własne dziecko takie mogłoby mi sprawić „dożywocie", jak to w naszych rodzinach bywa. Cóż stryjo zrobił z naszym dziedzictwem, co zrobił z nami, choć w jednej mieszkaliśmy chacie? Mnie nasza przeszłość nie tylko boli, ale i *straszy*.

— A wiecie, dlaczego Was to minione czapkowanie straszy? — Trochę może i wiem, jednacy my wszyscy, jak złe życie — źli ludzie, jak dobre — łatwiej być człowiekiem. — Mieliście złe życie, a mówicie tylko o czapkowaniu. Nie dopowiadacie drugich dziejów, w których biorąc cięgi, sami zadawaliście innym niemniejsze. Tak, tak. Oto kilka pytań, na które nie musicie mi teraz odpowiedzieć, ale się nad nimi zastanówcie.

W świat poszliście najstarszy. Zostawiliście matkę — wdowę i trzech małoletnich braci. Szukaliście ratunku dla siebie ale za Waszymi plecami została bez ratunku rodzina. Czy tak nie było? Kiedy stryjo Wam zapisał ziemię, owszem, wraz z niewolą, jakiej nawet nie przeczuwaliście, była to Wasza wygrana nad własnymi braćmi, siostrami i siostrzenicami stryjny. Wszyscy oni Wam zazdrościli i złorzeczyli latami. Wyście, harując, mieli w perspektywie gospodarstwo, a oni? Co się stało z Waszymi braćmi? Co z siostrzenicami stryjny? Czy to, że Wy teraz średniak, na własnym gospodarstwie, czy to zabezpiecza Waszych braci i siostrzenice? Co ich postawi na nogi? Czy nie czujecie się dłużnikami wobec braci, czy w Waszej konkurencji z siostrzenicami stryjny nie legł kamień krzywdy?

Żona Wasza miała matkę i sześć siostr — poumierały. Nędza rodziła choroby, choroby kończyły się śmiercią. Na wianie żony, na tych dwu i pół hektara ziemi stoi siedem grobów Nieraz zaglądała Wam rozpaczliwie w oczy żona: „Wojtek, u mojej matki i sióstr choroba i głód, jak pomóc jak żyć, żeby inni też mogli żyć?"

Tak, z czapkowania wydobyliście się ale z długu wobec tych, z którymi konkurowaliście o życie, — nie. To Was straszy z przeszłości. Wasze życie było, jak mówicie „sobacze", nie tylko dlatego że sami czapkowaliście, ale że musieliście patrzeć, jak wokół wszystkie gałęzie rodziny marnieją. Że nie mogliście pomóc, że — gorzej — kapitalistyczny ustrój kazał Wam zamykać oczy na los własnej i żony rodziny, kazał Wam walczyć o miskę soczewicy z takimi samymi nędzarzami po stronie stryjny.

Jesteście teraz na pozycji stryja. A ta pozycja utwierdza i przywraca dawną przeszłość. Gdyby ona nadal miała pozostać znamieniem czasów, nie ucichłby jęk umierających sióstr Waszej żony, nie ucichłyby złorzeczenia Waszych braci i płacz siostrzenic stryjny. A przecież na nich nie kończy się jeszcze gromada, są przyjaciele, sąsiedzi. Ludzie na was patrzą i myślą: był służącym u stryja, czy teraz **sam będzie stryjem?**

Piotr Chmura

JERZY K. MACIEJEWSKI

Na Mazurach szlakiem „wędrownych wczasów"

Piławki, środa, 4.VII

Pierwsza stacyjka za Ostróda, wokoło lasy sosnowe, a w środku, jak w szmaragdowej niecce, olbrzymie, wydłużone w nieskończoność jezioro Drwęca. „Błękitna tutaj cisza i słoneczność mieszka" — jakby powiedziała poetka.

Wzgórze o mocno wyschniętej trawie zbiega do jeziora. Na zboczu pasie kilka krów i owcę chłop — wysoki, niemłody już, w gumowych butach

Zaraz od pierwszych słów widać, że człowiek „bywały" (próbował szczęścia w USA) i rozgarnięty. Zięć jego, Rybicki, pracuje tutaj w lesie przy żywicowaniu. A on wraz z żoną przy nim. Ot, tak, bydełko popasie, ten kawałek ziemi obrobi...

— A dużo tej ziemi?

— Parę hektarów, ale tu ziemi, panie, ile kto chce brać. Aby tylko sił i sprzężaju starczyło, Dyrekcja



Lasów nie żałuje. O, jak pójdziecie za szosę na ten wzgórek, to zobaczycie moje żytko i kartofle...

Zależy mu na tym, aby zobaczyć jego żytko i ziemniaki, więc idziemy powoli w tamtą stronę. Zwinna pliszka wszywa się pomiędzy bydło, polując na towarzyszące muchy.

— Ładną owcę macie. Czemu nie hodujecie ich więcej?

— Jedna to się trzyma stada, a jak ich jest więcej, to już idą swymi drogami i wtedy jest z nimi kłopot. A z tej to ma się wełnę czy to na sweterek — pomacał się po swetrze — czy na rękawice, albo skarpetki...

Wchodzimy na wzgórze. W dole widnieje jezioro, dachy zabudowań Rybickiego wstęga szosy, trabiace pudło autobusu Miłomłyn-Ostróda. I lasy, lasy. Tuż przy polnej drodze żerdki, którymi Antoni Kaliszewski chce grodzić swe ziemniaki. Żyto już ogrodzone przed zwierzyną, bo dzików i leleni (tak z kurpiowska mówi na jelenie) zatrzęsienie. Uchronić się trudno. Ziemeczka też nietęga. Taka jak u mnie w przasnyskim.

— To macie swój grunt w Polsce Centralnej?

— A tak, mam kilka hektarów. Ale był tam u mnie sąsiad, bezrolny, a z kupą dzieci. Kiedy się zwiedział, że jadę do zięcia, więc do mnie: wydzierżawcie. To ja mu ziemię-m obrobił, nawet kilka metrów zboża wsiał. Masz, gospodaruj, bylebyś podatki opłacił.

— A czemu on nie chciał tu jechać?

— Ma dzieci małe, bał się...

— Bał się? Czego?

— At, widzicie, nierozgarnięty. Ale się wyrobi na tej ziemi, com mu zostawił. Nauczy się, że jak ja się nie boję tutaj, to i on się nie powinien bać. Choć on tam został, ale musi myśleć o mnie i o tutejszej ziemi, że toć to nasze.

*

Piławki, czwartek, 5.VII

Naszemu turnusowi ton nadaje młodzież. Cała grupa z handlu uspołecznionego z Cieszyna. Dziewczęta barwne jak motyle, a rozśpiewane jak ptaki. Chłopcy w krótkich spodenkach, z kolorowymi chusteczkami na szyi — pływacy i żeglarze.

Przy naszym stoliku siaduje matka z córką. Matka straciła męża w powstaniu i pozostała z dwojgiem dzieci. Wychowała syna na inżyniera, córka, (16-ty rok), jest przy niej.

Czuwa nad swoją Alisią, jak kwoka nad kurczęciem: nie odchodź! Ubierz się ciepło! Nie chodź szybko!

Alisia ma pociągłą, bladą twarz, obramowaną puklami ciemnych włosów, wielkie, wyraziste oczy, szczupłą, niezgrabną figurkę podlotka.

Przy kolacji oznajmiła matce, że nazajutrz jedzie „z tamtymi" łodzią na jezioro. Matka, wzburzona, wzywa mnie na świadka: „Alisia nie umie pływać, utopi się!" Obracam to w żart. Bo oto nadeszła chwila, gdy matka utraci część swej władzy na rzecz zespołu.

Nazajutrz Alisia przybiega na obiad radosna, z wiązanką lilii wodnych. Właśnie wróciła z wycieczki łodzią na jezioro. Żagiel zrobili z prześcieradła.

— Mamo, to było wspaniałe! — woła do matki, która załamałaby ręce, gdyby nie patrzący na tę scenę towarzysze wyprawy Alisi.

*

Piławki, piątek 6.VII

Miławki toną w lasach. Kiedy się tuż za schroniskiem skręci w las, można iść borem 5—10—20 i więcej kilometrów, nie spotykając żywego ducha, bo gajówki są tylko przy szosach.

Las nad brzegiem jeziora jest piękny, stary, mieszany: sosna, dąb, buk, grab... Sosny masztowe. Ich pomarańczowe, strzeliste pnie gorzeją w słońca zachodzie, jak rozżarzona miedź.

Część tego lasu przeznaczona jest na wyrąb w ciągu trzech lat. Obecnie jest żywicowana.

Właśnie nad jedną z sosen pochyla się postać ludzka. To jeden z czterech robotników, zajętych żywicowaniem tej części lasu, Leon Czaplicki, ze wsi Bagieńskie, gm. Miłomłyn. Czaplicki jest wysokim, postawnym blondynem. Chętnie opowiada o swej pracy:

— Za 1 kilo żywicy mamy 1,54 zł. To jest wcale nieźle, ale zbiór zależy od pogody. Dotychczasowe susze nie sprzyjały żywicowaniu. Teraz może się to zmieni. Na każdego z nas przypada 882 „okna". To nie znaczy, że tyleż drzew. Niektóre sosny mają jedno okno, inne dwa, a nawet trzy. Zależy od grubości drzewa. A tej oto sosny żywicować nie będę. Kiedyś uderzył w nią piorun. Inne stoją nad urwistym brzegiem i nie ma dostępu do nich. Jedno „okno" powinno dać przeciętnie 1,80 kg żywicy. Na wiosnę mieliśmy kłopot: rybacy, a także niektórzy młodzi wczasowicze zabierali nam kubeczki od żywicy, nieraz wrzucali do jeziora. Niepotrzebna strata...

— A jak poznajecie swoje „okna"?

— Panie, ja bym z zawiązanymi oczyma do swoich trafił. Wiem nawet, które drzewo ile żywicy daje.

— Skąd pochodzicie?

— Z powiatu przasnyskiego. Przyszedłem tu w r. 1948. W domu własnej ziemi nie miałem, pętałem się przy matce, zarobku nie było. Każdy, wiecie, szukał kawałka chleba. Przyszedłem tu z jedną krową, tum sobie drugę przychował, tum kupił konia, mamy świniaka, żona chowa kury. Kawałek pola pod kartofle uprawiłem — tu dopiero czujemy się ludźmi.

*

Miłomłyn, sobota 7.VII

Gminny Komitet PZPR mieści się obok gminnej biblioteki w pokoiku długim a wąskim, w którym jedyną ozdobą są liczne, na ścianach porozwieszane plakaty i odezwy. Przy stoliku siedzi sekretarz, mężczyzna wysoki, w sile wieku, o energicznej twarzy.

— Pożyczkę podpisali u nas wszyscy — odpowiada na moje pytanie. Stoimy na pierwszym miejscu. Wielu podpisało nawet więcej, aniżeli na nich przypadało.

— Widziałem, że macie Ośrodek Maszynowy. Jak on pracuje?

Sekretarz wydobywa z teczki „Różne" sprawozdanie ośrodka i zaczyna je z satysfakcją odczytywać. Ze sprawozdania wynika, że ośrodek całkowicie przygotowany jest do żniw. Także w PGR-ach.

— Nie w tym kłopot — mówi sekretarz, wstając — ale w tym, że papierkowej roboty dużo. Że człowiek musi się znać na wszystkim. Tam, w KP, mają w każdej dziedzinie specjalistów. Tu jestem sam. Jestem robociarz, mechanik z zawodu. Spojrzę na motor, na maszyny w tartaku czy w kaflarni — wiem, jakie są, w jakim stanie. A tu trzeba opanować wszystko. W mojej zaś gminie jest samych pracowników umysłowcyh blisko stu dwudziestu...

*

Idę z Miłomłyna w kierunku Ostródy. Pola, lasy. Ugór zorany w głębokie bruzdy, w nich delikatnie zielenią się sadzonki sosen i świerków. Zerwano już — na szczęście — z jednolitymi blokami: jak sosna — to dziesiątki hektarów sosny, a potem łatwy żer dla sówki-choinówki czy mniszki barczatki.

Po drodze dogania mnie mężczyzna ogorzały, w cajgowym ubraniu. Idziemy w jednym kierunku. Asfaltowa szosa ucieka spod nóg. Mężczyzna zaczyna mówić:

Nazywa się Józef Sowa. Jest członkiem zarządu spółdzielni produkcyjnej II st. Piaski, gm. Stary Dzierzgoń, pow. Morąg. Przyjechał do Miłomłyna w sprawie budulca dla spółdzielni.

Spółdzielnię założyli jesienią ubiegłego roku. Przystąpiło do niej 17 rodzin. Poza spółdzielnią pozostało jedynie dwóch. Spółdzielnia ma na razie 143 ha, ale do zagospodarowania może mieć całe 280 ha majątku Piaski. Działki przyzagrodowe wyznaczyli po 60 arów. Jako wkład do spółdzielni tych siedemnastu dało 16 dobrych koni i 7 krów. Świń nie było. Nastawiają się na gospodarstwo rolniczo-hodowlane. Z przyznanego kredytu nabyli na razie 4 rasowe krowy. Świń wspólnych mają już 6. Liczbę tę chcą wydatnie powiększyć. Część maszyn rolniczych przyznano im z Funduszu Ziemi. Poza tym będą korzystali z wydatnej obsługi POM-u z Zalewa.

— A ile osób wychodzi do pracy w polu?

— Do 40. W żniwa dociągniemy do pół setki. Także starsze dzieci szkolne można będzie użyć do lżejszych prac.

— A jak jest z sianem? Macie dużo koni, to dla was bardzo ważna sprawa.

— Siana zebraliśmy 150 wozów, po 6 metrów każdy. Potrzeba nam będzie około 1300 m, ale z potrawem wystarczy.

— Jak się wywiązaliście ze skupu zboża? Z Pożyczki Narodowej?

— Zboże oddaliśmy, ile było trzeba. Na pożyczkę deklarowaliśmy od 6 do 12 dniówek obrachunkowych. Zakontraktowaliśmy 11 ha buraków, jęczmienia, rzepaku i czego tam jeszcze... Ludzie u nas chętni. Ale biurokraty zniechęcają nas na różne sposoby. Na przykład z tym światłem. Przy zakładaniu spółdzielni — elektrykę obiecywano nam jeszcze w jesieni. Teraz mamy lipiec, a o świetle mowy nie ma. Albo z tym drewnem. Od lutego się zaczęło...

Nasza obora, stajnia i stodoła wymagały remontu. Papę i smołę nam dali, ale drewno na naprawę dachów, 83 metry sześcienne, przyznano nam na tartaku w Miłomłynie. Mówiliśmy, że daleko, więc przerzucono zamówienie do Ostródy. Wcale nie lepiej. My prosili, żeby w tartaku w Suszu, od nas tylko 15 km, ściągnęlibyśmy i furmankami. Powiedzieli jednak, że nie ma takich wymiarów, jakie nam są potrzebne, kantówka 8-metrowa. I znów skierowano nas do Miłomłyna. A to 37 km od Piasków. Więc tak: transport do kolei, naładunek na wagony, przewóz koleją, wyładunek, przewóz ze stacji. Ileż to złotych na metrze naleci? Samochodami, owszem wygodniej, prędzej, ale jeszcze drożej. A tu pieniądze społeczne. Trzeba oszczędzać każdy grosz bardziej jak własny... Żniwa się zaczynają. Przefujarzyli najlepszy czas. Ludzie czym innym zajęci i dokąd zboże z pola zwozić? Może napiszecie w gazecie, żeby tych spraw nie załatwiali tak biurokratycznie?...

— Napiszę. — A czy inne sprawy idą równie opornie?

— Nie. Zboże siewne dostaliśmy, nawozy też w wystarczającej ilości. Także na łąki i nasiona łąkowe. Nie można powiedzieć.

Koło schroniska drogi nasze się rozchodziły.

Krynica Morska, poniedz. 9.VII

U wylotu kanału do Zalewu, na płytkich, porośniętych zielenią wodach prawdziwe królestwo ptactwa: mewy nieodstępnie towarzyszą statkowi, perkozy prześlizgują się w szuwarach, spłoszone zrywają się dzikie kaczki. Wielkie czaple we wspaniale aerodynamicznym skrócie — jak na japońskich drzeworytach — szybują nad wodą.

Zalew Wiślany — olbrzymia roztocz wodna. Gdybyż iść za przykładem Holendrów, osuszających poldery na Zuyderzee i osuszyć te olbrzymie obszary! Cóż za wspaniałe, urodzajne mady zyskałoby się pod uprawę! Plany stworzenia tu nowych Żuław podobno już się przygotowuje.

Plaża w Krynicy Morskiej roi się od wczasowiczów i od dzieciarni z licznych kolonii letnich. Są to dzieci klasy pracującej, dla których ten piasek, słońce, woda i powietrze nadmorskie jest błogosławieństwem. Ich szczebiot, konkuruje skutecznie z krzykiem niezmordowanych mew.

Sądząc powierzchownie (bo na przykładzie naszego turnusu) za mało jednak wśród starszych wczasowiczów widzi się ludzi ciężkiej pracy: górników, hutników, metalowców, włókniarzy, robotników z zakładów chemicznych. Gdzie oni są? Dlaczego nie przeważają, dlaczego wciąż jeszcze stronią od wczasów, nie wykorzystując ich należycie?

Zaraz za plażą w upalnym słońcu uwijają się spaleni na brąz robotnicy. Podchodzę do jednego z nich. W piasku nadmorskiego zbocza kopie wąskie rowki i osadza w nich prostokątami wysokie na kilkadziesiąt centymetrów sosnowe kołki i gałęzie. Przysypuje u podnóża piaskiem.

Mówi o sobie:

— Jestem z Włocławka. Przyjechałem tu przed paru laty i pracowałem zrazu jako rybak. Lubię morze. Ale jakoś nie dobraliśmy się i praca była niestała i niepewna. Potem spotkałem kolegę i ten namówił mnie do pracy nad umacnianiem brzegu. Mam tu od metra bieżącego — wskazał na stawiane zagrody — 46 groszy. Przyszykowanie drzewa i „zacinanie", płatne osobno. Dziennie wyciągnę do 25 zł. Matka pracuje w Krynicy również i jakoś sobie żyjemy. Lubię tę pracę. Jest to nieustanna walka z morzem. Jesienne sztormy podmywają brzegi, ale piaski zasypują nasze umocnienia, porasta je trawa, my stawiamy nowe zagrody, piach je od nowa zasypuje i tak brzeg rośnie, umacnia się. Nasz brzeg. Nasze wybrzeże...

*

Przyszli na te ziemie z Przasnyskiego i z Kujaw, z Mazowsza i z Białostocczyzny. Umacniają brzegi, zagospodarowują nieużytki, uprawiają odłogi, pracują w lasach — wszędzie. Umacniają Polskę Ludową.

Jerzy K. Maciejewski

ALEKSANDER SZYMANEK

Mieszkania dla Śląska

WOJEWÓDZTWO katowickie, jakkolwiek należy do rzędu najmniejszych w kraju — zajmuje bowiem tylko 2,9% jego ogólnej powierzchni — skupia trzecią część przemysłu ogólnonarodowego i 10,7 ludności Polski. Gęstość zaludnienia przekracza tu cyfrę 300 mieszkańców na km kw. Jest ono więc — największym skupieniem ludzkim w naszym kraju.

W Planie 6-letnim na skutek rozwoju przemysłowego innych województw — udział Śląska w gospodarce narodowej zmniejszy się wprawdzie do czwartej części, co nie oznacza bynajmniej skostnienia rozwojowego tego okręgu. Wręcz przeciwnie — najbliższe lata przyniosą województwu katowickiemu 10 nowych, zmechanizowanych kopalń węgla kamiennego, szereg kopalń rud: żelaznej, cynkowej i ołowiowej, 2 potężne elektrownie cieplne (w Miechowicach i Jaworznie) 2 huty, 8 koksowni, i szereg innych zakładów przemysłu kluczowego na ogólną liczbę 37. Wartość produkcji przemysłowej Śląska w porównaniu z r. 1949 wzrośnie dwukrotnie.

Rzecz zrozumiała, że przy takim rozwoju przemysłu siłą faktu wzrośnie cyfra zatrudnionych. Jeżeli za podstawę przyjmiemy stan zatrudnienia z r. 1949, to w roku 1955 zwiększy się on o przeszło 17 proc. Mówiąc innymi słowy, w Planie 6-letnim przybędzie Śląskowi około pół miliona ludzi, którzy staną do pracy w nowych warsztatach; duża ich część przybędzie z innych województw i trzeba jej dać mieszkania w pobliżu zakładu pracy.

Istotnym więc problemem Śląska jest budownictwo mieszkaniowe.

Problem ten w naszym województwie, a zwłaszcza w tzw. Niecce Węglowej jest szczególnie trudny i skomplikowany. Występuje tu z jednej strony chaos i ciasnota budownictwa kapitalistycznego, z drugiej — nietrwałość gruntu, spowodowana pozostałymi z czasów „sanacyjnej wolności" bieda — szybami oraz nie zabezpieczonymi — zarówno przez kapitalistów jak i okupanta — wybranymi pokładami węgla. Stąd biorą się tak częste w Zagłębiu Węglowym wypadki zapadania się gruntów i dróg, a nawet budynków. Przy budowie osiedla robotniczego w Dąbrowie Górniczej natrafiono na prowizorycznie zasypany bieda-szyb, co zmusiło kierownictwo budowy do zmiany planu sporego odcinka osiedla, pomimo, że roboty ziemne były już daleko posunięte.

Już w okresie planu 3-letniego kiedy przemysł dotkliwie odczuwał brak rąk roboczych, a akcja werbunkowa rozbijała się często o brak mieszkań dla przybywających robotników, przystąpiono do budowy kilkunastu osiedli tzw. „fińskich domków" po kilkaset budynków każde. W nowych osiedlach, powstałych m. in. w Katowicach, Wojkowicach Komornych, Grodźcu, Czeladzi i Niwce, — kilkupokojowe, jednorodzinne domki, zelektryfikowane i skanalizowane, otoczono niewielkimi ogródkami, zaopatrzono także w niezbędne zabudowania gospodarskie.

Prawie w tym samym czasie ZOR rozpoczął budowę szeregu nowoczesnych osiedli, składających się z kilkupiętrowych, komfortowo urządzonych bloków. Pracom nadano tempo, które pozwoliło w ciągu trzech lat oddać do użytku 39 tys. izb. Tak więc w latach 1948 — 1950 zamieszkało w nowych domach 65 tys. osób.

Cyfry te — biorąc obiektywnie olbrzymie — są jedynie zapowiedzią tego, co już powstaje lub w najbliższym okresie zostanie wybudowane; nowe dzielnice w Katowicach — Koszutce, Brynowie, Załężu, Dąbiu, Wełnowcu, Pyskowicach, Bytomiu, Będzinie, Klimontowie, Czeladzi, Mysłowicach itd. to 60.500 nowych izb.

Dodajmy do tego 20 tys. oddzielnych domków, jedno i dwurodzinnych, jakie powstają już w Sosnowcu, a otrzymamy ponad 100 tys. nowych izb dla samego tylko Zagłębia Węglowego.

Budowy prowadzone są na terenie całego województwa: w Częstochowie powstają dwie nowe dzielnice mieszkaniowie: Raków i Śródmieście o łącznej ilości 11 tys. izb. Powstają nowe gmachy w Zawierciu, Bielsku-Białej, Dziedzicach, Cieszynie i Będzinie.

Ogółem w Planie 6-letnim Śląsk otrzyma 130 tys. nowych izb, z czego jeszcze w roku bieżącym zostanie oddanych blisko 11 tys. a dalsze 14 tys. wykończonych będzie w stanie surowym.

To niespotykane dotychczas tempo rozbudowy różni zasadniczo naszą epokę od burżuazyjnej. Ale nie tylko tempo Jakże oddmienne są mieszkania robotników, budowane obecnie — od tak zwanych „kolonii robotniczych" urządzanych przez kapitalistów dla ofiar ich wyzysku.

Kolonie takie powstawały przy większości kopalń i hut śląskich tuż przy murze fabrycznym, narażone na wyziewy kominów i pieców. Jedno, lub dwupiętrowe bloki z poddaszami ustawiano jeden przy drugim w odstępach nie przekraczających 10 metrów. Ciasne, ze wspólnym zlewem i ubikacją pośrodku podwórza. Bose, mizerne dzieci szukały słońca i zabawy w w rynsztokach ulicznych. A z okna do którego słońce prawie nigdy nie docierało — roztaczał się widok na sąsiedni blok z murem czarnym od sadzy.

Oto one ponure „k o l o n i e", które kapitaliści budowali po to, aby jeszcze bardziej przykuć robotnika do warsztatu, aby uzależnić i podporządkować go sobie ostatecznie. O szkołach i zieleńcach nie było wtedy komu myśleć.

Domy budowane w Polsce Ludowej, zaopatrzone w wodę, urządzenia kanalizacyjne, a niektóre także i w gazowe, dostosowywane są do potrzeb robotników i ich rodzin. Mieszkania dwu i trzypokojowe, o dużych, pełnych słońca oknach, otoczone zieleńcami przyglądają się z dala huczącej fabryce. Zabudowania gospodarskie — umieszczone w oddalonym krańcu dziedzińca nie wpływają ujemnie na estetyczny wygląd całości Obok osiedli powstają żłobki, przedszkola, sklepy. Ogółem na Śląsku wybudowanych zostanie 23 przedszkola, kilkadziesiąt ośrodków zdrowia, żłobków, punktów zbiorowego żywienia, 17 łaźni i pralni oraz szereg innych obiektów o przeznaczeniu socjalno-usługowym.

Wznoszone są domy kultury, sale kinowe, szkoły. Największy dom kultury wyposażony w salę mogącą pomieścić 2 tys. osób, sale klubowe i pracownie naukowe — powstanie w Dąbrowie Górniczej.

Jednym z największych spośród budowanych obecnie na Śląsku obiektów szkolnych jest tzw. „miasteczko młodzieży" w Chorzowie — Batorym. Obok wielkiego kompleksu szkół przysposobienia przemysłowego, składającego się z trzech olbrzymich budynków, powstanie tu Technicum Górnicze, pomieszczenia na warsztaty szkolne, pracownie, internaty itp. Łącznie wzniesionych zostanie 10 budynków nowocześnie urządzonych i wyposażonych w odpowiedni sprzęt. Potokowa metoda budowy tow. Krajewskiego przejęta przez murarzy „miasteczka" pozwoli oddać do użytku największe tego typu osiedle w Polsce już 1-go sierpnia br.

Powiązanie budownictwa mieszkaniowego z socjalno-kulturalnym i oświatowym, jakie doskonale zaobserwować możemy na przykładzie Śląska jest przede wszystkim dowodem wszechstronnej troski Rządu o warunki bytowe robotników. A te uległy wielkiej zmianie na lepsze. Można się przekonać o tym rozmawiając z górnikami czy hutnikami, którzy w różnych słowach wypowiadają zgodnie jedną myśl.

„Życie stało się lepsze, towarzysze. Życie stało się weselsze. A gdy życie jest wesołe, to i praca idzie dobrze".

Śląsk, — jak już powiedzieliśmy — otrzyma w Planie 6-letnim 130 tys. nowych izb mieszkalnych. Zaspokoi to częściowo głód mieszkaniowy w tym okręgu, lecz nie rozwiąże problemu jego przeludnienia. Sytuacja ustabilizować może jedynie stworzenie w pobliżu przemysłowego centrum — lecz poza jego obrębem, — dużego ośrodka mieszkalnego. Należało zatem znaleźć miejsce, położone stosunkowo blisko



Katowic, lecz nie narażone na wyziewy śląskich kominów, posiadające grunt odpowiadający wymaganiom budownictwa, a jeszcze nie zabudowany.

Po wielu poszukiwaniach wybór padł na małe, piwoszom jedynie znane miasteczko — Tychy. Oddalone o 30 km od Katowic, otoczone lasami Tychy nie podlegają „trującemu" działaniu przemysłowego centrum: tylko 30 proc. wszystkich wiatrów w Tychach wieje od strony czarnego Śląska — część pozostała, to prądy z gór. Miasto przyszłości — Tychy połączone siecią szybkobieżnych kolei elektrycznych z Katowicami—spełniać będzie rolę dzielnicy mieszkaniowej Niecki-Węglowej. W okresie Planu 6-letniego Tychy wzrosną do miasta o 30.000 ludności, a w parę lat następnych osiągną 100.000 mieszkańców.

Trudno dzisiaj, kiedy epopeja Tych zaledwie się rozpoczeła, pisać o wszystkich projektowanych wspaniałościach tego obiektu. Chociaż można by to zawrzeć w jednym zdaniu: Tychy — miasto **socjalistyczne.**

„Życie stało się lepsze towarzysze"... Warunki bytowe klasy robotniczej Śląska ulegają ciągłej poprawie. Obok nowych, wspaniałych gmachów mieszkalnych i urządzeń kulturalno-socjalnych, przeprowadza się intensywną przebudowę i remonty starych dzielnic robotniczych. Do szeregu osiedli przeprowadza się przewody kanalizacyjne, wodociągowe i urządzenia sanitarne.

Akcją generalnych remontów, których koszt w rozliczeniu na wszystkich mieszkańców województwa wyniesie **tysiąc zł** na osobę, objętych zostanie ponad pół miliona izb.

Natężenie budownictwa nowych obiektów i rozmach akcji remontowej nie umniejsza dbałości projektantów o estetykę naszych miast. Na przykład w Pyskowicach i Wodzisławiu odbudowywane są z wielkim pietyzmem stare zabytkowe kamieniczki w rynku, z końca XVI w., które w czasie działań wojennych uległy zupełnie zniszczeniu.

Zabytkowe budowle odzyskują swój historyczny profil, a budynki z epoki kapitalizmu wyciąga się z niechlujstwa i zaniedbania. Przedszkola, tonące w promieniach słońca i zieleni rozbrzmiewają szczebiotem najmłodszych. W świetlicach i domach kultury wre praca: zespołowe czytanie gazet, kurs wszechnicy radiowej, kurs szybkościowego skrawania metali, próba chóru. — Oto odgłosy rozwijającego się nieustannie nowego życia Śląska, które „stało się weselsze. A gdy życie jest wesołe, to i praca idzie dobrze".

Aleksander Szymanek

Z dziejów Ameryki

HENRYK BEREZA

U KOLEBKI USA

Ameryka na początku swoich dziejów, to znaczy na początku masowej kolonizacji w pierwszych dziesiątkach siedemnastego wieku, była schroniskiem dla wszystkich, dla których Europa była za ciasna; feudalny jej ład krępował swobodę ekonomiczną; polityczny i religijny ucisk wzbudzał pragnienie wolności. W trzynastu koloniach na atlantyckim wybrzeżu Ameryki Północnej ścierały się interesy narodowe i społeczne, polityczne i religijne. Wśród kolonistów przeważali Anglicy, Holendrzy, Niemcy, Francuzi i Żydzi. Anglicy byli najliczniejsi. W 1664 r. opanowali niderlandzką kolonię „Nowy Amsterdam“, dzisiejszy Nowy Jork, w 1763 r. zawładnęli francuską Kanadą. Kolonie stanowiły własność prywatną, państwową lub należały do angielskich kompanii handlowo-kolonizacyjnych. Różnorodność wrogich niejednokrotnie wyznań religijnych stanowiła w owych czasach istotny czynnik polityczny. Wśród kolonistów znajdowali się purytanie, independenci, kwakrzy, kalwini, luteranie, anglikanie i katolicy. Ludzie ci na amerykańskim lądzie szukali często ucieczki przed prześladowaniami religijnymi. Jeszcze więcej sprzeczności tkwiło w społecznym układzie sił. W stanach południowych osiedlali się arystokraci, właściciele ogromnych plantacji, na których pracowała niewolnicza ludność murzyńska. W 1750 roku w Wirginii 50 proc. ludności stanowili niewolnicy murzyńscy, których już od roku 1620 przywożono do Ameryki z ich afrykańskiej ojczyzny. W stanach północnych robotnicy, drobni farmerzy, rzemieślnicy tworzyli trzon społeczeństwa, ale stanowili przedmiot wyzysku wielkiej burżuazji, której działalność z drugiej strony krępowała władza angielska. Dla robotników, rzemieślników i drobnych farmerów najdotkliwszy był zakaz wydany przez króla angielskiego w roku 1763, który zabraniał osiedlania się na terenach zachodnich, co uniemożliwiało uwolnienie się spod zależności ekonomicznej od burżuazji. Wyzyskiwane masy ludowe szykowały się do rewolucyjnych wystąpień przeciwko obszarnikom i bogaczom. Sytuacja w koloniach w latach siedemdziesiątych osiemnastego stulecia groziła gwałtownym wyładowaniem.

Wielka burżuazja miała także powody do niezadowolenia z angielskiej opieki. Burżuazja angielska czujnie strzegła swojej wyłączności w produkcji przemysłowej. W koloniach nie wolno było budować hut żelaznych, produkować tkanin, rozwijać handlu. Anglicy nakładali ogromne podatki, cła i opłaty.

Piątego września 1774 roku zebrał się w Filadelfii Kongres Kontynentalny, który uchwalił „Deklarację praw“, żądając od króla swobody przemysłu, zniesienia podatków, na które przedstawicielstwo kontynentu nie wyrazi swej zgody. Zdecydowana odpowiedź króla, domagająca się bezwzględnego podporządkowania się jego woli ostudziła rewolucyjny zapał burżuazji, której interesy reprezentował Kongres.

Przez długi czas burżuazja nie zdobyłaby się prawdopodobnie na żadne radykalniejsze poczynania, gdyby nie masy ludowe, które wystąpiły zbrojnie przeciwko okupacyjnej armii. Wiosną 1775 roku farmerzy, robotnicy i rzemieślnicy w Lexingtone i Concordzie nie pozwolili wojskom angielskim obrabować magazynów broni i żywności, potajemnie przygotowanych przez kolonistów. Rozpoczęła się ośmioletnia, uciążliwa wojna, o której Lenin powiedział, że była *„jedną z wielkich, naprawdę wyzwoleńczych wojen“*, której międzynarodowe znaczenie oceniał Marks, pisząc, że *„amerykańska wojna wieku XVIII o niepodległość brzmiała jak dzwon alarmowy dla burżuazji europejskiej“.*

Zrewolucjonizowany Kongres proklamował 4 lipca 1776 roku niepodległość Ameryki i ogłosił tzw. „Deklarację Niepodległości“, zredagowaną przez Tomasza Jeffersona, wybitnego demokratę owych czasów.

„Poczytujemy za oczywiste następujące prawdy, że wszyscy ludzie rodzą się równi sobie... że wszyscy są obdarzeni pewnymi nierozłącznymi prawami, a takim jest prawo do życia, do wolności i do poszukiwania szczęścia. Celem zabezpieczenia tych praw ludzie ustanowili rząd, który legalną władzę otrzymuje od rządzonych. Jeśli kiedy dla tego celu, jaka bądź forma rządu staje się zgubna, lud ma prawo zmienić ją lub znieść i ustanowić nowe rządy, oparte na zasadach lepiej odpowiadających dążeniom do dobrobytu i wolności...“

Przez osiem lat robotnicy i rzemieślnicy, drobni farmerzy i inni ludzie pracy marli z głodu i zimna, padali w nieskończonych marszach i odwrotach z wyczerpania, ginęli od kul najemnych angielskich żołnierzy i własnych rodaków, którzy opowiedzieli się za panowaniem Anglików, gdy kongresmeni toczyli zawzięte spory o dostawy broni i żywności, gdy kłócili się między sobą o stanowiska i godności, gdy wielcy obszarnicy gościnnie przyjmowali angielskich oficerów, gdy walczyli u ich boku z „podłymi rebeliantami“. W czasach *„próby ludzkich dusz“* według sformułowania wybitnego pisarza Tomasza Paine'a, naród amerykański zdobył się na największy wysiłek, na największe bohaterstwo. Naród amerykański rozumiał, że *„niełatwo jest pokonać tyranię, podobnie jak niełatwo jest pokonać piekło“*, że *„im cięższa jest walka, tym wspanialszy będzie triumf...“* Naród amerykański za długoletnie cierpienia, za krew na polach Valley Forge, Manhattanu, na ulicach Bostonu i Filadelfii otrzymał konstytucję, w której *„ani Murzynom, ani Indianom praw obywatelskich nie nadano. Nawet wobec białych kolonistów zastosowano cenzus majątkowy w celu ograniczenia ilości wyborców“.* Wyborcami mogli być tylko ci, którzy opłacali podatki bezpośrednio.

Nic dziwnego, że farmerzy, robotnicy i biedota miejska, na których senatorowie, właściciele fabryk i plantacji chcieli zrzucić także finansowe koszty wojny o niepodległość, już w czwartym roku po zakończeniu wojny wywołali powstanie zbrojne pod wodzą uczestnika walk o niepodległość Daniela Shaysa. Powstanie to zostało krwawo stłumione. Wielka burżuazja stanów północnych wiedziała, gdzie należy szukać sprzymierzeńców przeciwko masom ludowym. Centralistyczna konstytucja z roku 1787, roku powstania Shaya, jest wynikiem sojuszu burżuazji północy z arystokracją południa. Zgoda na zachowanie niewolnictwa Murzynów nie była zbyt wielką ceną za wydatną pomoc w ujarzmieniu mas ludowych.

U kolebki burżuazyjnej republiki amerykańskiej leży więc oszustwo, dokonane na narodzie amerykańskim, który wywalczył niepodległość. Klasa panująca Stanów Zjednoczonych ma więc daleko sięgające tradycje, jeśli chodzi o ucisk i wyzysk narodu.

II

Burżuazyjni historycy nie szczędzili wysiłków, by zafałszować prawdę o narodzinach „ojczyzny Waszyngtona“. Wynaleźli cały szereg mitów. M. in. Jerzy Waszyngton w tej historiografii wielkością swoją przysłonił nie tylko daleko wybitniejszych ludzi swojej epoki jak np. Jeffersona, ale wielkość mas ludowych, którym klasa panująca Stanów zawdzięcza swoje uniezależnienie od panowania angielskiego.

Dalej niż historycy posunęli się poszukiwacze tradycji historycznych w dziedzinie literatury pięknej. W okresie międzywojennym istniały w Ameryce dość silne tendencje do twórczości o tematyce historycznej. Tematyce osiemnastowiecznej i okresowi wojny o niepodległość poświęcili swoje powieści pisarze niezwykle w Ameryce rozreklamowani: znany u nas dobrze Kenneth Roberts i Hervey Allen.

Hervey Allen, autor wielkiej powieści „Antoni Adverse“, patrzy na epokę powstawania Stanów Zjednoczonych od strony wpływów ówczesnej międzynarodowej finansjery, „od strony importu i eksportu od strony businessu, kontrabandy, piratów, handlu niewolnikami i rozkwitu plantacji bawełnianych i tytoniowych nad brzegami Missisipi“. Ten nie maskujący się ideolog imperializmu amerykańskiego z całą świadomością przeciwstawia bohaterstwu żołnierzy Waszyngtona zasługi businessmenów, handlarzy niewolników, odznaczających się okrucieństwem, drapieżną zachłannością, brakiem jakichkolwiek skrupułów moralnych i ludzi tych uważa za prawdziwych twórców państwowości amerykańskiej. Ten cyniczny piewca imperializmu stwarza wizję osiemnastego wieku według ideałów dzisiejszych władców Białego Domu. W historycznej masce pieje Hervey Allen hymn pochwalny na cześć imperialistycznych zamysłów panowania nad światem.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że podobne sądy historyków i pisarzy o okresie kształtowania się państwa i narodu amerykańskiego są powszechnie uznane przez oficjalną opinię, głoszone z katedr uniwersyteckich, wielkość dzieła Howarda Fasta, który postanowił odkłamać historię Ameryki, przedstawi się we właściwych rozmiarach.

Problematyce wojny o niepodległość poświęcił Fast trzy powieści historyczne: „Zrodzeni w wolności“, znana w przekładzie polskim pod tytułem „Bitwa pod Valley Forge“ (1939), „Niezwyciężony“ (1942), „Obywatel Tom Paine“ (1943). Powieści te, pomimo takich czy innych zastrzeżeń, dotyczących warsztatu pisarskiego Howarda Fasta, dają prawdziwy obraz rewolucji amerykańskiej, odsłaniają jej istotę, demaskują „pobożne“ sądy burżuazyjnych historyków.

Trzy powieści Fasta stanowią jak gdyby trzy etapy w kształtowaniu się jego wiedzy o epoce narodzin narodu i państwa amerykańskiego.

„Bitwa pod Valley Forge“ (posługuję się tytułem polskiego przekładu) wyraża tezę Fasta, że powstanie niepodległego narodu amerykańskiego dokonało się na drodze cierpień i walk podstawowych, dolnych warstw społecznych: robotników, rzemieślników i drobnych farmerów, że w cierpieniach tych przełamywały się odrębności poszczególnych kolonii, rodziło się poczucie wspólności interesów, kształtowała się solidarność narodowa. Dla przeprowadzenia tej tezy wybrał Fast dzieje armii rewolucyjnej w czasie strasznej zimy 1777 roku, gdy zdziesiątkowane oddziały rewolucyjne, pozbawione żywności i ubrania w najpotworniejszych warunkach przetrwały najcięższy okres, zahartowały się w znoszeniu trudów i niewygód. Szczupłość ram fabularnych pozwoliła Fastowi nakreślić tylko konflikt: masy żołnierskie — dowództwo armii, ale obraz ten jest transpozycją konfliktu: masy ludowe — burżuazja. Bohaterowie powieści Fasta, prości żołnierze Waszyngtona zdają sobie z tego sprawę.

„Ci wasi wielcy ludzie z Bostonu mylą się bardzo, jeżeli myślą, że walczymy dla nich. Nie znają tego kraju, o który walczymy. Od tysięcy lat ludzie szukali takiej ziemi, na której zapanuje wolność“.

Powieść „Niezwyciężony“ ma charakter ataku na zakłamaną historiografię burżuazyjną.

Nie tylko arystokracja i wielka burżuazja wyczekuje rozstrzygnięcia, także *„klasy średnie odetchnęły z ulgą i uznały, że już czas otworzyć sklepy i zdjąć okiennice. Dla nich okupacja (angielska) znaczyła stabilizację, znaczyła, że mogą na nowo podjąć interesy, oparte nie na obietnicach płacenia i papierowej monecie, ale na dobrym solidnym złocie“.*

W powieści „Obywatel Tom Paine“ charakteryzuje Fast rewolucję amerykańską w perspektywie europejskich rewolucji burżuazyjnych, dokonuje trafnej analizy nurtów społecznych w Anglii i Francji, obraz rewolucji amerykańskiej, rzutując na płaszczyznę dążności innych społeczeństw, co pozwala na ocenę amerykańskiej rewolucji z perspektywy światowej. „Obywatel Tom Paine“ jest chyba najśmielszą powieścią Fasta i jest ideologicznym podsumowaniem wiedzy Fasta o osiemnastym wieku i amerykańskiej wojnie o niepodległość.

Jako motta powieści wziął Fast cytat z Beniamina Rusha z 1784 roku, w którym wyodrębnione jest pojęcie wojny amerykańskiej, która się skończyła i rewolucji amerykańskiej, która się bynajmniej w roku 1783 nie skończyła, *„Skończył się zaledwie pierwszy akt tego potężnego dramatu“.*

Postać Tomasza Paine'a, angielskiego proletariusza, od roku 1774 teoretyka demokratycznej rewolucji burżuazyjnej w Ameryce, inicjatora zaburzeń proletariackich w Anglii, członka Zgromadzenia Narodowego we Francji, wiecznego rewolucjonisty, wspaniale nadaje się na bohatera powieści nawet o najrozleglejszych perspektywach.

Ideolog rewolucji farmerów i rzemieślników był bezkompromisowy w stosunku do arystokracji i feudalizmu. W swoim „Zdrowym rozsądku“ Paine pisał, że *„stara zasada monarchii zawiera w sobie coś niewymownie śmiesznego“. „W Angli całe zajęcie króla polega na prowadzeniu wojen i rozdawaniu dóbr, czyli mówiąc po prostu, na łupieniu narodu i trzymaniu go za łeb. Niezły interes dla człowieka, któremu płaci się za to osiemset tysięcy szterlingów rocznie i na dodatek otacza czcią! W obliczu Boga i dla społeczeństwa jeden uczciwy człowiek jest pożyteczniejszy, niż wszyscy ukoronowani łajdacy, którzy kiedykolwiek żyli na świecie“.* Farmerzy i rzemieślnicy potrafili przez osiem lat walczyć przeciwko Anglikom, ale zachłysnęli się ochłapami wolności i nie potrafili wystąpić przeciwko Kongresowi, fabrykantom i obszarnikom. Powstanie Shaysa było manifestacją niezadowolenia, ale nie było rewolucją. W chwiejności farmerów i rzemieślników znajduje się główna przyczyna tragedii amerykańskiej rewolucji. Załamał się także jej ideolog Tomasz Paine. Tragiczne jest jego niezrozumienie istoty rewolucji francuskiej. Paine nie umiał wybrać między żyrondystami a jakobinami i zbliżał się raczej do pierwszych. „Obywatel Tom Paine“ zawiera elementy krytyki amerykańskich rewolucjonistów, ich drobnomieszczańskie ograniczoności.

Wielki pisarz, demaskując zakłamanie sądów burżuazyjnych historyków i pisarzy, dając prawdziwy obraz amerykańskiej wojny o niepodległość i amerykańskiej rewolucji chciał wskazać na tradycje walk narodu amerykańskiego o wolność i sprawiedliwość z jednej strony, i na tradycje zdrady narodowej i wyzysku amerykańskiego przez amerykańskie klasy panujące z drugiej strony. Bo co się zmieniło w praktykach amerykańskiego Kongresu przez sto pięćdziesiąt lat jego istnienia? *„W kuluarach Kongresu załatwiano wszystko. Jedni starali się o ochronę wojskową swoich miasteczek czy wsi. Południowcy starali się o to, by Kongres uznał tytoń za niezbędny artykuł aprowizacji armii, jeszcze inni o dekret dozwalający na dostawę rumu do obozów żołnierskich. Fabrykanci wełny próbowali sprzedać owce po cenie czterokrotnie wyższej od ceny rynkowej. Masarze nowojorscy usiłowali wmówić Kongresowi, że wojsko powinno być żywione wyłącznie mięsem. Farmerzy Nowej Anglii dowodzili, że najlepszym pożywieniem dla żołnierza jest twaróg“.* Sto pięćdziesiąt lat temu parlament amerykański frymarczył krwią swego narodu, a dziś władcy Ameryki chcą frymarczyć krwią narodów całego świata. Ale dziś narody świata na żadną amerykańską propagandę złowić się nie dadzą.

Henryk Bereza

SEWERYN SKULSKI

BRANSON

(Ze wspomnień amerykańskich)

WEST Viriginia Coal Co., w stanie West Virginia, to jedna z gałęzi wielkiego trustu baronów węglowych w stanach wschodnich. Kopalnie tego trustu leżą w małych miejscowościach, daleko od centrów wielkoprzemysłowych. W miejscowościach tych baron węglowy jest absolutnym panem życia i śmierci pracujących w kopalni górników i ich rodzin. Gdy się ktoś urodzi w takiej węglowej miejscowości i nigdzie dalej nie wyjeżdża, to przez całe życie nie będzie znał pieniędzy Stanów Zjednoczonych, gdyż miejscowość ta jest feudalnym państwem barona węglowego. Baron węglowy za pracę wypłaca własnymi pieniędzmi, za które można nabyć odzież, obuwie i żywność tylko w jego sklepach, ponieważ innych tam nie ma, a w innej miejscowości te pieniądze — kupony, nie są ważne.

W kopalniach West Virginia Coal Co., pracują Polacy, Jugosławianie, Włosi, Murzyni i inni. Ale wszyscy oni są „murzynami“. Pracują w kopalniach nie swoich. Bardzo często nawet życie nie do nich należy. Tam szeryf powiatu nigdy się nie wtrąca w to, dlaczego jednego lub kilku górników zostało zabitych, dlaczego ktoś został pobity aż do kalectwa, dlaczego rodzinę lub kilka rodzin z kompanijnej budy wyrzucono na drogę, dlaczego ktoś kogoś nocą porwał, oblał wrzącą smołą. Tam porządku strzeże prywatna policja barona węglowego. Szeryf ze swoimi ludźmi dopiero wówczas wkracza, gdy strajk staje się masowy, gdy baron węglowy już nie dowierza siłom własnej policji.

W górzystej części stanu West Virginia jest górnicza miejscowość. Moubdsville. Stan West Virginia sąsiaduje ze stanem Maryland, gdzie znajduje się Distric Of Columbia a więc stolica kraju Washington, jedno ponoć z najbardziej cywilizowanych miast na świecie. Górnicy pracujący dla West Virginia Coal Co., w bliskim sąsiedztwie tak pięknego i szlachetnego miasta, postanowili przez zorganizowanie się w unię górniczą, wypowiedzieć walkę feudalnym warunkom baronów węglowych.

Walka była długa i ciężka. Policja barona węglowego i ludzie szeryfa szli na wyścigi w wyrzucaniu rodzin z bud kompanijnych, rozbijaniu głów, kopaniu ciężarnych żon górników i aresztowaniach. Główny zarząd unii górniczej, widząc słuszną walkę górników, słał drogą składek klasy robotniczej odzież dla dzieci, żywność i lekarstwa. Rzeczy te trzeba było przemycać do rodzin górniczych nocą i ukradkiem, ponieważ niszczyła je policja, a przyłapanego sądził sędzia powiatowy, człowiek barona węglowego, za... „włóczęgostwo“, ponieważ prawo stanu za włóczęgostwo karze i to ciężko.

Główny zarząd unii górników, przysłał na miejsce walki młodego Amerykanina, zdolnego mówcę i organizatora. Ten Amerykanin nazywał się Branson. Już następnej nocy po pierwszej mowie, wygłoszonej do górników, znikł jak kamień w wodę. Na drugi dzień „Wheeling News“ wychodzącą w mieście Wcheeling, doniosła, że nocą jakiegoś włóczęgę przejechał pociąg.

Dziwny to był pociąg, który w ciele zostawił kilka kul rewolwerowych.

Branson nie był Polakiem, ani Włochem ani nawet Murzynem. Był Amerykaninem z rodziny od wieków osiadłej w stanie New Jersey. Był białym Amerykaninem, czcił ojca Stanów jednoczonych Washingtona, i wielkiego prezydenta Lincola. Kochał konstytucję i szanował prawo.

Branson w ostatnim liście do swojej matki pisał:

„Mamo. Jestem zdrowy. Nie wiesz jak tu w tej West Virginii pięknie. Góry porosłe lasami przyciągają oczy. Rzeki aż proszą aby w chłodnej wodzie ciało odświeżyć i ptaki pięknie śpiewają, tylko krzywdy i biedy tu za wiele. Ale wierzymy w nasz naród, w naszą klasę robotniczą. Prawda i sprawiedliwość musi zwyciężyć. Dla prawdy i dla człowieka żyć warto“.

Branson na pewno zwycięży!

Seweryn Skulski

JERZY WINNICKI

PERSPEKTYWY AMERYKAŃSKIE



Podżegacz wojenny Churchill — w karykaturze.

Jesteśmy pod boskim przewodem, abyśmy się troszczyli o dobro naszego sąsiada i pomagali jedni drugim, gdyż wszyscy ludzie są bożymi sługami i nikt nie ma prawa źle traktować swoich bliźnich“.

Wszyscy bankierzy, obecni na uroczystości w Intepedence, w stanie Missouri, mieli łzy w oczach, słysząc to kazanie z ust Trumana, prezydenta Stanów Zjednoczonych. Płakali bankierzy, płakali fabrykanci zabawek dziecięcych, które po napełnieniu materiałem wybuchowym, lotnicy amerykańscy zrzucają „w darze“ dzieciom koreańskim, płakał sędzia Medina i gangster Costello. Nawet prominentni miejscowi, ku-klux-klanowcy, mieli łzy w oczach.

Prawdziwe jednak wzruszenie ogarnęło zagranicznych „sąsiadów“ Harry S. Trumana, gdy przeczytali do końca wydrukowaną mowę prezydenta USA. „Sąsiad“ jak wiadomo, w języku atlantyckim oznacza równie dobrze Anglików, Francuzów, Holendrów, jak i Persów, Hindusów, Etiopów, Islandczyków, Brazylijczyków albo inaczej: Adenauera, Haldera, Kruppa, Manteufla, Li Syn-mana, Czang Kai-szeka, filipińskiego prezydenta, Quirino i „cesarza“ Bao Dai.

„...postawiliśmy do dyspozycji nasze zasoby i naszą pomoc wszystkim tym narodom, które wierzą w wolność tak samo jak i my. Pomoc nasza ma na celu dopomożenie tym narodom do wzrośnięcia w siły i zbliżenia się do naszych wspólnych ideałów“.

Tak brzmi w faryzeuszowskiej interpretacji bogobojnego prezydenta Stanów Zjednoczonych „ideologiczna“ postawa planu Marshalla i paktu atlantyckiego.

Cele polityki amerykańskiej w skali międzynarodowej sformułował jednak kilka lat wcześniej jeden z najwybitniejszych „ideologów“ imperializmu amerykańskiego, John Mac Cormack, w książce p.t. „America and World Mastery“ („Ameryka i panowanie nad światem“). Pan Mac Cormack uczynił to, co prawda, w sposób pozbawiony trumanowskiego uroku mistycznego, ale za to o wiele jaśniej.

„Z każdym dniem upewniam się, że Stany Zjednoczone nie tylko muszą stanąć na czele ludów mówiących po angielsku, aby odnieść zwycięstwo, za co nagrodą będzie wolność świata, ale po opanowaniu świata *powinny nim pokierować.*“

Jak wyobrażają sobie amerykańscy „uczeni w piśmie“ ów przyszły „wolny“ świat, zbliżony do wzruszających „ideałów“ Trumana Pobożnego, wyjaśnia nam amerykański, z przeproszeniem, „uczony“, niejaki Gay Irving Barch, w artykule ogłoszonym w „naukowym“ czasopiśmie amerykańskim „Population Bulletin“:

„Cyfra teoretycznie słuszna — pisze pan Barch — ludności globu ziemskiego jest prawdopodobnie niższa od 750 milionów ludzi. Ta cyfra różni się znacznie od obecnej, wynoszącej 2 miliardy 250 milionów ludzi. Należy bezwzględnie ustalić program zmniejszenia ludności kuli ziemskiej.“

Pobożny prezydent Stanów Zjednoczonych, Harry S. Truman, gorliwie przykłada swą pieczęć pod ludobójczymi planami imperializmu amerykańskiego:

„Jeśli dla zachowania pokoju (!) na całym świecie okaże się potrzebne użycie bomby atomowej, my ją wykorzystamy bez wahania“.

Wiemy już więc dokładnie ku czemu zmierza polityka Stanów Zjednoczonych. Świat ma być „wolny“ po opanowaniu go przez Stany Zjednoczone, a po wytępieniu około 2 miliardów ludzi, reszta, pod kierownictwem USA, ma wieść „amerykański tryb życia“, zgodnie z pobożnymi „ideałami“ Trumana.

Pakt atlantycki jest niedwuznacznie wymierzony w Związek Radziecki, Chiny Ludowe, państwa demokracji ludowej i Niemiecką Republikę Demokratyczną. Jawnie głoszone przez Waszyngton plany wojenne wskazują wyraźnie i bez osłonek kierunek na Wschód. I w imię tego przedsięwzięcia rządy satelickie Waszyngtonu mają pomóc imperialistom amerykańskim w zmontowaniu gigantycznej maszyny wojennej. Ale wiemy przecież, że ZSRR, Chiny, kraje demokracji ludowej — to mniej więcej połowa ludności globu ziemskiego. „Program“ zaś imperializmu amerykańskiego „przewiduje“ wytępienie około 2 miliardów ludzi. Któż zatem ma „uzupełnić“ brakujące w amerykańskim planie zagłady setki milionów ofiar waszyngtońskiej żądzy panowania nad światem?

Na to pytanie odpowiada znany podżegacz wojenny, przywódca „Partii Republikańskiej“ w USA, konkurent Trumana do fotela prezydenta Stanów Zjednoczonych, senator Taft:

„Mam nadzieję, że Europejczycy zdają sobie sprawę z tego, iż w wypadku konfliktu, ich miasta zostaną zniszczone przez lotnictwo. Ostatnio miało to miejsce w Korei“.

Taftowi wtóruje senator Millikin:

„Na wypadek wojny przeciw Rosji, ośrodki przemysłowe Europy powinny być zburzone“.

A senator Fulbright, z partii prezydenta Trumana, dodaje:

„Pomożemy Europejczykom, niszcząc ich miasta“.

Oto perspektywy dla narodów, których rządy zgodziły się przyjąć „pomoc“ Stanów Zjednoczonych, aby — jak powiedział amerykański prezydent — faryzeusz — „dopomóc tym narodom do wzrośnięcia w siły i zbliżenia się do naszych wspólnych ideałów“.

Ideałów...

Szaleńcy, planujący wymordowanie dwóch trzecich ludzkości, zachowali jednak na tyle trzeźwości, aby zdawać sobie sprawę, że nie będą w stanie tego dokonać tylko rękami amerykańskich żołnierzy.

Ze szczególną dlatego pożądliwością spoglądają ku krajom, które przeszły „szkołę faszyzmu“, opłaciwszy ją wielomilionowym haraczem „mięsa armatniego“. Imperialiści amerykańscy wierzą, że kraje te są niejako predysponowane do wystawiania wielkich armii i oddawania krwi w służbie wojen imperialistycznych.

„Niemcy, którzy zawsze byli znakomitymi żołnierzami — pisze amerykańska gazeta „Times Herald“ — chętniej będą walczyć przeciwko tradycyjnym wrogom — Słowianom ze Wschodniej Europy — aniżeli przeciwko swym braciom z Zachodu.“ Ergo —

Żołnierzom niemieckim płacić będziemy drobny ułamek tego, co musielibyśmy wydać na żołnierzy amerykańskich“ — oświadcza członek Izby Reprezentantów USA, Robert Poage.

Ergo... „Są na świecie obszary, na których można uzyskać dodatkowych żołnierzy za mniejszą ilość dolarów, niż w Stanach Zjednoczonych. — Chcemy, żeby Turcy mieli większą armię. Turecki „dodatkowy żołnierz“ kosztowałby nas 200 dolarów... Natomiast amerykański „dodatkowy żołnierz“ kosztuje nas 10.000 dolarów“. („Christien Science Monitor“).

Rozważania swe komentator gazety amerykańskiej kończy w sposób następujący:

„Idealnym rozstrzygnięciem kwestii z amerykańskiego punktu widzenia byłoby utworzenie sojuszu wojskowego pomiędzy Turcją, Grecją i Jugosławią. Sojusz ten dałby nam więcej tanich dywizji, niż wszystkie kraje Europy Zachodniej, razem wzięte“.

To się nazywa: gonić w piętkę. Najpierw uderzyć na Europę Zachodnią z hitlerowskimi pogrobowcami na czele, a na koniec Turcy i siepacze Tita więcej wydają się Wall Street obiecywać niż cała razem wzięta Europa Zachodnia. Ale Tito przecież siedzi na wulkanie terrorem zdławionych sił rewolucji, ale naród grecki to przecież ujarzmiona Grecja...

Toteż naczelny teoretyk imperializmu amerykańskiego James Burnham, w książce p.t. „O panowanie nad światem“: zaleca hipokryzję na wszystkich frontach:

„Rozumie się, że próba ustanowienia imperium światowego nie może się udać, jeśli będziemy otwarcie zapowiadać dążenia do stworzenia imperium światowego. Należy zatem posługiwać się formułkami łatwiejszymi do przyjęcia, jak na przykład: „Federacja Światowa“, „Republika Światowa“, „Stany Zjednoczone Świata“, „Rząd Światowy“, A NAWET „NARODY ZJEDNOCZONE“...

Tę ostatnią formułkę zastosował imperializm amerykański, od roku na Korei.

*

Włodzimierz Lenin w mowie, wygłoszonej w listopadzie 1918 roku, powiedział:

„Anglia i Ameryka, które mają większą, niż jakikolwiek kraj, potencjonalną możliwość pozostania demokratycznymi — dochodzą do takiego stopnia zdziczenia i głupoty, jak poprzednio Niemcy. Dlatego też Anglia i Ameryka zbliżają się równie szybko, jeśli nie szybciej jeszcze, do takiego samego końca, jaki tak bezapelacyjnie spotkał imperializm niemiecki. Pęczniał on najpierw, rozpostarł się na trzy czwarte Europy, porósł niesłychanie w tłuszcz, wtedy pękł, pozostawiając po sobie okropną woń. I to jest koniec, do którego zmierzają imperializmy W. Brytanii i Ameryki“.

Jerzy Winnicki

ANDRZEJ GROBELNY

Mąka a czujność

ZDAWAŁOBY się, że są to dwa dość od siebie odległe pojęcia. Praktyka wykazuje, że tylko pozornie.

O tym, że przednówek był niegdyś najcięższą porą dla pracującego chłopstwa — wiedzą na wsi wszyscy. I o tym, że był on okresem bezczelnego wyzysku biedoty przez zasobne w zboże kułactwo. A także o tym, że Polska Ludowa dla przycięcia kułakom pazurów przeznaczyła do sprzedaży na przednówku dla mało i średniorolnych chłopów 50 tys. ton mąki żytniej po cenach hurtowych.

Ale nie wszyscy zdają się wiedzieć, że od sprawnego i szybkiego rozdziału tej mąki zależy realna wartość pomocy państwowej dla wsi. I nie wszyscy pamiętają, że kułactwo przeciwdziała każdej akcji rządu robotniczo-chłopskiego. Lecz najdziwniejsze, że nie pamiętają o tym czasami ci, co pamiętać powinni najlepiej.

Przykładem podobnego zaniku pamięci jest gmina Kamionka w pow. lubartowskim. Gmina liczy 11 gromad. Posiada Gminną Spółdzielnię. Ta, oczywiście, musi posiadać prezesa. A prezes nazywa się Łukasiewicz.

— No, chłopy — rzekł pewnego dnia do sołtysów 11 gromad prezes Łukasiewicz. Że przy spółdzielni jest magazyn, to wiecie. Więc o tym wam nie gadam. Ale że w magazynie jest już rządowa mąka, to nie wiecie. Więc o tym gadam. A reszta należy do was. Zróbcie listy, komu i ile trzeba tej mąki. Żeby nikogo nie skrzywdzić.

Bo taki już był chłop sprawiedliwy. Z natury.

Sołtysi poszli. W niedługim czasie wróciło trzech, niosąc za pazuchą listy potrzebujących mąki. O reszcie słuch zaginął.

— Sprzedajcie, prezesku, bo w gromadach brak chleba... poprosili grzecznie ci, co wrócili.

— Nie da rady — orzekł po ojcowsku prezes. Trza poczekać na wszystkich.

Jak trza, to trza. Sołtysi zwiesili głowy i wrócili z rezygnacją do chałup. I czekają. Tydzień, drugi. Czeka też obywatel prezes. Bo był, uważacie, nie tylko sprawiedliwy ale i bardzo cierpliwy. Aż szkoda, że zamiast zużywać tyle energii na ćwiczenie się w wielce utrudzającej i niewdzięcznej sztuce oczekiwania z rękami na podołku — nie zajął się powołaniem komisji, która otrzymaną mąkę rozdzieliłaby na gromady i sprzedawała najbardziej potrzebującym chłopom w miarę nadsyłania list. Albo, że przynajmniej nie zainteresował się bliżej przyczynami opóźnienia w dostarczeniu list z pozostałych 8 gromad.

A warto było. Jeszcze jak! Bo oto miejscowi kułacy — widząc że pracujące chłopstwo dzięki pomocy rządowej wymyka się im z pazurów — puścili w ruch swą ulubioną broń: plotkę. Nie wiadomo skąd gruchnęła wśród chłopów pogłoska, żeby się nie zapisywać na mąkę, bo to taka pomoc, że ci bokiem wyjdzie: po żniwach oddasz parę razy tyle. Więc niektóry mniej uświadomiony, z przysłowiową już chłopską ostrożnością, obawia się kupić mąki po cenach hurtowych i... kupuje ją przepłacając grubo, u kułaka! Oczywiście, nie za gotówkę. „Dobry" sąsiad poczeka do żniw. A w żniwa odrobisz z nawiązką. Albo oddasz „po sąsiedzku": pięć kwintali za kwintal.

Ale winien tu jest nie tylko prezes GS. Zawinił także czynnik społeczny, który sądził, że sprawa rozdziału mąki jest wyłącznie sprawą GS. A tymczasem miejscowi działacze ZSCh i ZMP i Ligi Kobiet, oni w pierwszym rzędzie, powinni przeciwdziałać, i to energicznie, kułackiej plotce i wyjaśnić chłopom dla kogo i na jakich warunkach przeznaczona jest pomoc przednówkowa. W ten sposób dopiero wykazaliby się odpowiednim stopniem wyrobienia społecznego, które przejawia się między innymi i czujnością wobec każdego przejawu wrogiej działalności kułactwa, a także poczuciem odpowiedzialności za wszystko, co się dzieje w terenie.

Bo nawet zwykła żytnia mąka ma wiele wspólnego z rewolucyjną czujnością...

Andrzej Grobelny

Prasa regionalna

W ostatnim okresie „Głos Szczeciński" uchodzić może bezsprzecznie za jedną z najlepiej redagowanych gazet prowincjonalnych. Mamy tu na myśli zarówno dobór i układ materiału jak i jego charakter i jakość.

Weźmy na przykład nr 189 z 12 lipca b. r. Już pierwsza strona wprowadza nas w istotną problematykę gazety — jest niejako jej ekspozycją. Ciężar zagadnień w danym dniu spoczywał na sprawach wewnętrzno-krajowych. Czołowy artykuł poświęcony jest rozpoczęciu żniw w kraju. Niżej widzimy meldunki o przebiegu wykonania Czynu Lipcowego. Jednocześnie na tej samej stronie gazeta porusza problemy własnego terenu. Oto dwuszpaltowy ciąg wiadomości o budowie wielkiej bazy rybackiej w Świnoujściu i potężnego kombinatu rybnego sztandarowego obiektu Planu 6-letniego w województwie szczecińskim. Dalej wiadomości o zobowiązaniach żniwnych z terenu województwa. Wreszcie artykuł mobilizujący do walki ze stonką ziemniaczaną, która pojawiła się w tamtejszym terenie.

Na dalszych stronicach podstawowe zagadnienie walki o produkcję znajduje konkretny wyraz. Oto artykuł Jana Babińskiego o problemie obnizki kosztów własnych w Szczecińskich Zakładach Włókien Sztucznych w Żydowicach, gdzie autor omawiając dotychczasowe osiągnięcia pod tym względem oraz metody, za pomocą których obniżka kosztów została dokonana, wskazuje na dalsze możliwości i sposoby potanienia i polepszenia produkcji.

Dalej reportaże o POM w Bani i spółdzielcach z RZS w Smolnicy przygotowujących się do żniw.

Na szczególną uwagę zasługuje także artykuł o problemach pracy politycznej w terenie w ramach cyklu „O ulepszenie stylu pracy KP w Łobezie".

W tym samym numerze w związku ze zbliżającą się 25 rocznicą śmierci Dzierżyńskiego znajdujemy recenzję z jego „Pism Wybranych" i fragment opowiadania T. Borowskiego.

Recenzje z występów artystycznych — i popisów cyrku nr 4 w spółdzielni produkcyjnej Piaseczno uzupełniają, dział kulturalny.

Sprawy bytowe są tematem artykułów na str. 5.

Jak już pisaliśmy, ankiety przeprowadzone pośród robotniczo-chłopskich czytelników gazet wykazały, że szczególną popularnością cieszą się realistyczne reportaże przedstawiające jak prości ludzie rozwiązują konkretne zagadnienia swej pracy i walki o plan, o polepszenie warunków bytowych. Są one o wiele chętniej czytane i o wiele silniej oddziaływują na masowego czytelnika niż najlepsze artykuły.

Otóż czołowe osiągnięcie „Głosu Szczecińskiego" polega właśnie na tym, że daje on systematycznie dobre reportaże.

Reportażom tym nie ustępują reportaże ze wsi. Charakterystyczną i godną uznaną cechą tych reportaży jest to, że punktem centralnym jest w nich zwykły człowiek. Są to reportaże o naprawdę żywych, typowych ludziach. Czytelnik słuchając ich rozmów, zdań i uwag łatwo ulega sugestii obrazu, włącza się w zagadnienie pracy i życie terenu. W ten sposób gazeta spełnia swoją mobilizacyjną i organizacyjną funkcję.

Do właściwego powiązania z terenem brakuje jednak „Głosowi Szczecińskiemu" drugiego ogniwa: dostatecznie rozbudowanego i systematycznie pracującego aktywu korespondentów terenowych.

Zdarzają się numery, gdzie nie znajdziemy ani jednej korespodencji krytycznej, jak np. w omawianym przez nas numerze (189).

A przecież są takie numery (np. nr 195), gdzie mamy po kilka dobrych korespondencji — co wskazywałoby, że wspomniany wyżej brak przy odpowiedniej pracy redakcji możliwy jest do usunięcia.

Osobnego omówienia wymaga literacki dodatek „Głosu", „Życie i Kultura" — lecz o nim następnym razem.

M. W.

Wszystkie rysunki w b. nr. „W si" wykonał Stefan Gierowski.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet.
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12, tel. 40180—90
Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr. 7,
Prenumerata i Kolportaż: P. P. K. „Ruch", Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12. tel. 804-20 do 25
Tel. Red. Nacz. 727-86 Tel Redakcji 751 80 ? wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISOW NIE ZWRACA.
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3—zł.; kwartalnie 9—zł.; półrocznie 18—zł.; rocznie 36—zł.;
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO. Warszawa I — 6842/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".
„RSW „PRASA" Warszawa, Marszałkowska 3/5. 2-B_30785

TADEUSZ GICGIER

List z Łodzi

DELEGACJE NA ZLOT

Już tylko... dnie dzielą nas od daty otwarcia w Berlinie III Światowego Zlotu Młodych Bojowników o Pokój. Ze wszystkich części świata, z najbardziej oddalonych zakątków globu ziemskiego przybędzie do Berlina młodzież, aby w czasie dwutygodniowego Festiwalu zacieśnić więzy braterstwa i międzynarodowej solidarności, zewrzeć jeszcze mocniej front walki o pokój, dokonać przeglądu swych osiągnięć w tej walce. Wielojęzyczny, a jednakowy w swym wyrazie głos pokoju, głos siły i nadziei — rozlegnie się w miejscu, gdzie tego najbardziej wymaga potrzeba.

Trzeci Światowy Festiwal Młodzieży zapowiada się o wiele bardziej imponująco, niż dwa poprzednie. Świadczą o tym przygotowania w Berlinie, świadczą czyny przedzlotowe młodzieży wszystkich krajów. Na wieść o zwołaniu Zlotu nawet koczownicze plemiona Australii, które dotychczas nigdy nie opuszczały swego kontynentu, zgłosiły chęć wysłania delegacji do Berlina.

Młodzież polska już od kilku tygodni żyje myślą o Zlocie, na którego cześć podjęła i realizuje szeroko zakrojone zobowiązania produkcyjne, społeczne, sportowe i inne. Młodzi robotnicy, uczniowie, harcerze przygotowują liczne podarunki i pamiątki dla uczestników Festiwalu. W ramach akcji przedzlotowej odbywają się imprezy i zbiórki na fundusz solidarnościowy, z którego pokryte zostaną koszty wyjazdu delegacji młodzieży krajów kapitalistycznych, kolonialnych i zależnych.

Dokonano już wyboru delegatów na Festiwal. Młodzież łódzką reprezentować tam będzie 42-ch przodowników pracy i nauki — aktywistów walki o pokój. Oprócz nich na Zlot wyjadą z Łodzi dwa zespoły taneczne oraz kilku najwybitniejszych młodych sportowców. W skład delegacji wejdą również harcerze, którzy zamieszkają w specjalnym miasteczku pionierskim pod Berlinem.

⁂

Jest letnie południe. Ulicą 8-go Marca, wiodącą od Piotrkowskiej do Kilińskiego, idziemy w kierunku Zakładów im. Stalina. Po drodze mijają nas grupki tkaczek — to czas zmiany. Idą do domu przygotować śpiesznie obiad, aby potem móc jeszcze jak najdłużej korzystać z pogodnego dnia, odetchnąć na powietrzu w parku lub ogrodzie. Wśród mijających nas robotnic znajduje się dużo młodych dziewcząt — to ich barwne sukienki, ich gwar ożywił najbardziej ulicę.

Po jednej stronie olbrzymie, rozrośnięte klony i topole, po drugiej— rząd czerwonych budynków, w oknach skrzynki z kwiatami.

Na „Nowej Tkalni" rozpoczęła już pracę druga zmiana. Sala tętni rytmem kilkuset maszyn. Ten rytm — i ciągły ruch krosien sprawia wrażenie, że idą one jak szeregi ludzkie w pochodzie.

Nad warsztatami sieć hydrantów, rozpylających wodę. W niskim, oszklonym dachu pracują wentylatory. Na sali jest widno, powietrze czyste, nie odczuwa się tu gorąca mimo upalnego dnia.

Między krosnami poruszają się ludzie. Cztery, sześć, dwanaście krosien — niemałej trzeba szybkości, aby nadążyć ze zmianą wątka, niemałej uwagi, aby ustrzec towar od braków.

Starsi, doświadczeni tkacze i tkaczki radzą sobie z tym dość łatwo. Trudniej młodszym — ale pracują już w zespołach, pomagają sobie wzajemnie, nie rezygnują z wykonania bazy. Od czego młodość, zapał, ambicja przodowania, zwłaszcza, kiedy się zna cel i znaczenie swej pracy...

Jeśli zaś masz jakieś trudności ze zrozumieniem tego celu, pomoże ci w ich usunięciu Henryka Cupryn, przodownica pracy, tkająca na 12-tu krosnach — delegatka na Zlot berliński. Znają dobrze koleżankę Cupryn młode robotnice i robotnicy „Nowej Tkalni", znają i darzą zaufaniem, inaczej nie wybraliby jej chyba radną młodzieżową w Radzie Zakładowej, a tym bardziej nie powierzyli godności reprezentowania młodzieży zakładów na Festiwalu w Berlinie.

„Moi rodzice — mówi Henryka Cupryn — byli małorolnymi chłopami. Latem ojciec wynajmował się do pracy sezonowej, a zimą szedł na wyrąb lasu. Kiedy nie było pracy w lesie, chodził do bogaczy młócić żyto. Matka też chodziła do bogatych gospodyń jako praczka, a myśmy się całą piątką zostawali w domu. O nauce nie było nawet mowy, bo na książki i zeszyty nie starczyłoby pieniędzy.

Po wyzwoleniu przyjechałam ze starszą siostrą do Łodzi — i tu zaczęłam pracować, jako pomoc tkaczki. Zaopiekowało się mną fabryczne koło ZMP — dzięki temu już po dwóch tygodniach stanęłam samodzielnie przy sześciu krosnach.

Nasz nowy ustrój zmienił też życie rodziców, którzy otrzymali ziemię z reformy rolnej. Tatuś gospodarzy i pracuje w Radzie Gminnej, nie wysługując się już nikomu. Młodsza siostra i bracia chodzą do szkoły w naszej wsi. Widząc te zmiany, zrozumiałam bardzo wiele rzeczy. One też popchnęły mnie do organizacji młodzieżowej i zaczęłam pracować z większyym zapałem, przechodząc z sześciu krosien na dwanaście.

Henryka Cupryn, córka małorolnego chłopa, stoi dziś w pierwszych szeregach proletariatu. W jej pracy i działalności organizacyjnej znajduje najlepszy wyraz sojusz robotniczo-chłopski — podstawa władzy ludowej. Młodzież łódzka nie powstydzi się chyba takiej delegatki na III-cim Światowym Festiwalu.

⁂

Z kolegą Misztalem znamy się od czasu powstania łódzkiego Komitetu Przygotowawczego do Zlotu w Berlinie. Zenon Misztal jest frezerem w Widzewskiej Fabryce Maszyn Włókienniczych. Opracował wniosek racjonalizatorski, który zwiększył znacznie wydajność pracy.

Jak do niego doszedł?

— Nieraz widziałem, jak robotnica ciężko pracowała nad czyszczeniem wałków do maszyn włókienniczych, zwanych przewijarkami. Mogła wyczyścić do 35 takich wałków dziennie. Wpadłem na myśl zastosowania nowego rodzaju szczotki czyszczącej. Obecnie robotnica ta czyści 350 wałków dziennie.

— A jak młodzież waszych zakładów przygotowuje się do Zlotu?

— Mamy szereg zobowiązań produkcyjnych. Kolega Jezierski z ZMP podniesie wydajność o 5 proc., kol. Barwiński o 3 proc., kol. Golas o 5 proc. Ten ostatni jest niezorganizowany. Przygotowujemy też podarunki dla młodzieży niemieckiej — gospodarzy Zlotu. Będzie to wykonany z metalu znaczek zetempowski i kowadełko.

— Jeśli na Zlocie któryś z członków delegacji zagranicznej zapyta o warunki, w jakich żyje i pracuje nasza młodzież — to co kolega powie mu na ten temat?

— Powiem chyba o tym, co sam obserwuję. Jest przy naszych zakładach „Dom Młodego Robotnika", wybudowany dla młodzieży spoza Łodzi, przeważnie wiejskiej. Mam tam kolegów — porównują oni często los swych rodziców, którzy za czasów sanacyjnych przyjeżdżali szukać zarobku w mieście, ze swym życiem i pracą. Rodzice mieszkali gdzieś kątem, byli wyzyskiwani przez fabrykantów — i nie widzieli przed sobą żadnej przyszłości. Kolegami opiekuje się ludowe państwo, które nie tylko, że uprzystępniło im naukę w Szkole Przysposobienia Przemysłowego, pomogło w zdobyciu zawodu — i w ten sposób stworzyło im możliwości dalszego awansu społecznego, ale utrzymuje ich dalej w nowoczesnej bursie, gdzie mają świetlicę, radio, gry sportowe, własne kółko dramatyczne i wiele innych kulturalnych rozrywek.

Tadeusz Gicgier

LESZEK GOLIŃSKI

List z Wrocławia

MIASTO MŁODZIEŻY

Minął już okres, kiedy Wrocław — stolica Ziem Odzyskanych był pupilem naszej prasy. Dzisiaj w województwie wrocławskim i jego stolicy pisze się już „tylko" tyle, co o innych miastach. Czy powód do rozgoryczenia dla „wrocławskich patriotów"? Wprost przeciwnie. Powód do słusznej dumy. Po prostu pupil — dorósł, stał się pełnowartościowym obywatelem Ludowej Ojczyzny. Ba, wyprzedził pod względem rozwoju inne dzielnice.

Aczkolwiek województwo wrocławskie zajmuje tylko 6 proc. obszaru Polski, to jednak mieszka w nim 6,9 proc. ludności całego kraju. Z ludności tej tylko 32 proc. zajmuje się rolnictwem, 68 proc. pracuje zaś w zawodach nierolniczych, co świadczy o wysokim stopniu uprzemysłowienia tego regionu. Stąd też i siła nabywcza ludności naszego województwa jest znacznie wyższa od przeciętnej siły nabywczej w Polsce i stanowi 9,8 proc. siły nabywczej ludności całego kraju.

Nie poprzestaniemy jednak na dodotychczasowych osiągnięciach. W Planie 6-letnim czeka nas dalszy wysiłek nad rozbudową wrocławskiej bazy produkcyjnej.

W województwie naszym powstaje ponad 20 wielkich i średnich zakładów przemysłowych

Do sławnych tradycji przeszły już pionierskie wysiłki pierwszych budowniczych PAFAWAG-u. Dziś pracują pełną parą obok fabryki wagonów, zasłużone „Wodomierze", Archimedes, Fabryka silników, M5...

Przez rozbudowę tych obiektów, przez budowę nowych — produkcja przemysłowa naszego województwa wzrośnie do roku 1955 przeszło dwukrotnie w porównaniu z rokiem 1949, a zatrudnienie w samym przemyśle zwiększy się do 300.000 osób.

Ten wzrost produkcji i zatrudnienia pociągnął jednak za sobą konieczność rozwiązania inego podstawowego problemu naszego województwa: budownictwa mieszkaniowego.

Szczególnie ostro problem ten występował w samym Wrocławiu. Trudno było rozwiązać to zagadnienie od ręki — miasto potrzebowało odbudowy i przebudowy, potrzebowało energicznej akcji odgruzowania, potrzebowało dziesiątek, setek i tysięcy mieszkań dla szybko rosnącej liczby robotników. Miasto szybko nabrało charakteru robotniczego, błękitny kombinezon częściej się trafia u nas w tramwaju, niż „plereza" i pasiaste skarpetki. Trzeba było mieszkań i jeszcze raz mieszkań. Zaczęła się historyczna „bitwa o dachy", aby uratować jak największą ilość poturbowanych domów od zniszczenia. Zaczęły się remonty bloków mieszkalnych i całych dzielnic. Dzielnice te leżały poza centrum miasta i nie można ich było ujrzeć z okien kolejowego wagonu. Stąd gadka, że odbudowa Wrocławia nie rusza z martwego punktu.

Remonty w województwie wrocławskim obejmują ogółem 275.000 izb! Do tego dojdzie około 63.000 izb nowowybudowanych. Sam Wrocław otrzyma dwa nowe osiedla mieszkaniowe: Śródmieście i Krzyki z około 14.000 izb mieszkalnych.

Odbudowa Politechniki Wrocławskiej jest właściwie jej rozbudową.

Powstające w tej chwili frontalne gmachy przy pl. Grunwaldzkim wykończone zostaną całkowicie jeszcze w tych miesiącach dzięki przedterminowym zobowiązaniom załogi budowlanych. W drugim semestrze roku akademickiego budynki zostaną oddane do użytku, wzbogacając tym samym wrocławski ośrodek naukowy.

Jest on już dzisiaj jednym z najpoważniejszych w kraju pod dwoma względami.

Po pierwsze, wrocławski ośrodek naukowy jest ośrodkiem najbardziej nowego typu. Nie ma on obciążeń przedwojennych uniwersytetów. Procent młodzieży robotniczej i chłopskiej na uniwersytecie wrocławskim — ze względu na socjalny skład mieszkańców miasta, jest bardzo wysoki, wyższy, niż gdziekolwiek indziej w Polsce.

Po drugie — dzięki obecności tu wielu uczonych o dużej sławie naukowej oraz nader dogodnym warunkom dla przeprowadzania badań, żeby wspomnieć chociaż Zakład Mikrobiologii prof. Ludwika Hirszfelda lub Państwowy Instytut Matematyczny prof. Hugo Steinhausa — młodzież uniwersytecka ma możność osiągnięcia jak najwyższego poziomu wiedzy. Nic dziwnego ,że już dzisiaj wyższe uczelnie Wrocławia ściągają młodzież dosłownie z całego kraju. Nie bez znaczenia są tu również stosunkowo dogodne warunki mieszkaniowe — dzielnica akademicka na Sępolnie, najpiękniejszej części miasta, liczne domy akademickie itd.

Miasto robotnicze musi wiązać jak najściślej życie kulturalne z potrzebami świata pracy. Po tej linii poszły wszystkie instytucje kulturalne Wrocławia i wydaje się, że postąpiły najsłuszniej. Stałym i chlubnym „nawykiem" stały się częste wizyty w terenie, w fabrykach. Takie właśnie drogi rozwojowe nakreśliła teatrom dolnośląskim konferencja organizacji partyjnych w teatrach. Z tych założeń wychodzili studenci polonistyki, pracując na terenie kół ZMP-owskich zakładów wrocławskich. Z tych założeń wychodzili członkowie Koła Młodych Pisarzy, wchodząc w kontakt ze szkolnymi i zakładowymi kołami literackimi.

Wrocław nie posiada natomiast swojego pisma literackiego. Czynione były i są próby rozszerzenia składu redakcyjnego „Życia literackiego" i na Wrocław. Byłoby to nader pożądane. Jeśli bowiem stosunkowo często ukazują się w prasie ogólnopolskiej recenzje i noty z życia kulturalnego stolicy, wydaje się rzeczą krzywdzącą, by nie wspominać o tak poważnych ośrodkach kulturalnych, jak Poznań, Kraków czy Wrocław. Co prawda, w ostatnim czasie daje się zauważyć dodatni objaw ukazywania się recenzji lub omawiań ważniejszych wydarzeń kulturalnych na prowincji. Czyni to „Trybuna Ludu", czyni „Nowa Kultura", czyni „Wieś".

W czym tkwi największy urok Wrocławia? Wrocław jest miastem dzieci i młodzieży — jest potężną kuźnią młodych kadr. Kadry te rosną w uczelniach, w szkołach zawodowych, fabrykach. Kadry te przeobrażają oblicze tej ziemi, każą dymić kominom Wizowa, każą rosnąć czerwonym murom Politechniki.

Miasto nasze spokojnie patrzy w przyszłość. Jego losy dzierżą silne, robociarskie ręce.

Leszek Goliński

Herbatnikowa pomoc

Sześciu ich jest tych bogaczy i niby to kułaków w Woli Rz. Chełpią się i chwalą majątkiem, lśniącymi i naprawdę rasowymi końmi, nowymi rynnami u okapów, tytułami naukowymi swoich wykształconych synów, ale kiedy „co do czego" to biedni są, jak mysz kościelna. Zboża na skup — „nie mają", zakontraktowanej nierogacizny „nie mają" — „nie są w stanie", podatków na czas zapłacić, „nie mają z czego"... i tak gdziekolwiek by o nich zahaczyć, zawsze jedno mają do powiedzenia: „cudzego nie chcę, a swojego nie dam". Taki na przykład Stach K. chłop na 18 morgach powiada: „cudzego nie chcę"... ale w roku 1946 wysłał syna do szkół, ulokował w internacie i podczas gdy synowie ubogich sąsiadów w drewniakach jeszcze chodzili, jego syn kształcił się na skróconych kursach technicznych i dziś jest inżynierem. W internacie rząd Polski Ludowej zapewnił mu mieszkanie i utrzymanie, słowem warunki o wiele lepsze od tych, w jakich żyli jego rówieśnicy we wsi. Stach K. niewiele grosza dawał kształcącemu się synowi... a dziś powiada, że od nikogo niczego nie chce, ale i swego nie popuści. Na skup zboża nie da, kontraktować nie będzie, pomocy sąsiedzkiej świadczył nie będzie, bo wystarczy, że jego syn odbudowuje Warszawę. Jest w Woli Rz. jeszcze jeden taki, co nawet lubi kiedy nazywa się go kułakiem, byle tylko nie publicznie — Michaś St. To stary kawaler gospodarujący wraz z matką na 14 ha dobrej ziemi. Służący pasie krowy, matka gospodarzy w domu, najemnicy obrabiają pola. A Michaś St. ma pańskie kaprysy. Siodła konia i z fantazją galopuje gdzie oczy poniosą. Zatrzymuje się przed gospodą ludową, konia wiąże u płota i żeby się mu nie nudziło częstuje go paczką herbatników. Dookoła gromadzą się dzieci i łykają ślinkę, podczas gdy on wypija szklankę piwa albo częstuje wódką dobrych znajomych. We wsi jeszcze znajdzie takiego, co za ćwierć morgi koniczyny orać będzie całą wiosnę albo kosił przez całe żniwa.

— Jest takich jeszcze czterech w tej Woli Rz., żyjących sobie z dnia na dzień w przekonaniu, że krzywda się im dzieje. Razem jest ich sześciu i każdy żyje z dala od gromady, jak odyniec odwykły od stada. Muszę z nimi pogadać na osobności, może nawet — przy kwarcie gorzaliny.

Sołtys Woli Rz. dziwił się. Wiedział już bowiem o zebraniu bogaczy u Michasia i o tym, że już stary Bunda rozpoczął swą robotę u Katarzyny B.

Musieliście prezesie dobrego stracha im napuścić — powiedział — kiedy wręczyłem mu kartkę z podpisami „opornych".

— Nie było żadnych strachów.

Ale wszystko to nie jest jeszcze tak, jak powinno być. Michaś St. swojego konika częstuje herbatnikami, i z tej samej fantazji kiedy chce częstuje pomocą sąsiedzką. Może jednak będzie z tego coś naprawdę, kiedy dobrze zrozumie, że zboża w kraju musi być więcej.

Powiedzcie mi, jak się to robi?

Nie odpowiedziałem sołtysowi, bo jak wiadomo nie ma jeszcze na to gotowej recepty.

Stefan Stodolny

Książki nadesłane

KSIĄZKA I WIEDZA

Róża Luksemburg — Kryzys socjaldemokracji poprzedzane pracą W. I. Lenina o broszurze Juniusa — str. 169 — 1-Maj, Materiały historyczno - literackie — str. 263.

W. Mawrodin — Walka z „Teorią normańską" w rosyjskiej nauce historycznej — str. 35 (2 egz.) — Rolnictwo radzieckie.

M. Zadornow — Daleki kraj — str. 311.

Kazimierz Koźniewski — Biała plebania w Wolbromiu — str. 54.

Miezjenczew — Elektryczne oko str. 57.

A. P. Kozulnikow — O książce W. I. Lenina „Dwie taktyki" — socjaldemokracji w rewolucji demokratycznej — str. 51. — Wielka wojna narodowa Związku Radzieckiego — str. 46.

Michaś Łynkow — Opowiadania — str. 220.

Andrzej Braun — Reportaż serdeczny — str. 116.

W. Gaponow — Elektrony — str. 62.

Wanda Suchecka i Krzysztof Strzelecki — Jadwiga Niewolik będzie pierwszym wytapiaczem — str. 63.

S. Biegalin — Wielbłąd małego Seida — str. 15.

W. Osiejewa — Nic trudnego — str. 15.

Antoni Kuźniecow — Jaskółka — str. 14.

Witalij Bianki — Siła nie jest wszystkim — str. 15.

A. Leontiew — O dziele W. I. Lenina „Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu — str. 88.

Antonina Wallentin — Leonardo da Winci — str. 474.

J. Smirnow — Komsomolski zespół szkolenia politycznego — str. 114.

Anna Milska — Shgiptarija — ojczyzna górskich orłów — str. 61.